

To tylko
przyjaźń,
Panie
Sąsiedzie



Tylko u nas: Mała uliczka w Głogowie.
232 metrów długości, 18 numerów,
47 zameldowanych mieszkańców. Co sprawiło,
że większość z nich żyje jak wielka rodzina?
W czym tkwi fenomen ulicy 10 Maja w Głogowie?



NOWOŚCI

DZIENNIK TORUŃSKI

Piątek
10.10.2025

Nr 236 (16829)
Rok LVIII

www.nowosci.com.pl
Cena 6,50 zł (w tym 8% VAT)



Hazard i lewe zasiłki
za prawie 3 mln zł!
**Afera w toruńskim
MOPR-ze
str. 3**

Do przebudowy
ulicy Olsztyńskiej
**nie ma przeszkód
formalnych str. 4**

Nr ISSN 0137-9259

Nr indeksu 350370



W obronie Torunia

Utrzymać północną część Torunia
i nie dopuścić do przeniknięcia sił
wroga w głąb miasta - takie było
zadanie uczestników „**Kursu walki
w mieście**”. Zorganizowało go
Centrum Szkolenia Wojsk Obrony
Terytorialnej **str. 4**

„Bad Boy” za kratami.
To koniec kariery
Denisa Z.? **A może
bójka z użyciem
maczety była
ustawką? str. 6**

**Wyraźny postęp
prac na budowie
trasy S10 z Torunia
do Bydgoszczy.**
„Koniec drogi śmierci
coraz bliżej” **str. 10**

**Studnia, a może drewniany
dom z XIV wieku?** Zaskakujące
odkrycia toruńskich archeologów
kopiących na podwórzu kamienicy
Domu Kopernika **str. 6**

**Polski urzędnik
szpiegował
dla rosyjskiego
wywiadu?**
Akt oskarżenia
trafił do sądu **str. 27**

TYDZIEŃ Z „NOWOŚCIAMI”

SOBOTA

● Marcin Dorociński stroni od świata celebrytów

PONIEDZIAŁEK

● Sportowe wydarzenia, wyniki i tabele z weekendu

WTOREK

● Strefa biznesu - analizy i informacje gospodarcze

ŚRODA

● Wczesne objawy raka piersi nie bolą. Trzeba się badać

CZWARTEK

● Napad Piłsudskiego na carski pociąg pocztowy

PIĄTEK

● Jak pracownik MOPR-u wyłudził 2,8 mln zł zasiłków

ZAMÓW PRENUMERATĘ: tel. 56 451 91 04, bok.prenumerata@polskapress.pl, prenumerata.nowosci.pl

Janusz Michalczyk

KTO SIĘ BOI
TILLY NORWOOD?

Zbliża się moment przesilenia, będziemy musieli przejść przez „wieki ciemne”, bo przestajemy dostrzegać, co jest prawdą. Wbrew pozorom nie są to słowa jakiegoś jasnowidza zaprawionego w straszaniu publiczności, lecz opinia trzeźwego racjonalisty, zajmującego się fizyką kwantową prof. Jana Chwedeńczuka. Co nim tak wstrząsnęło? W audycji filozofa Tomasza Stawiszyńskiego (YouTube) profesor mówił o kilkunastu filmikach, którego bohaterką jest atrakcyjna aktorka... nieistniejąca.

Holenderska producentka i komiczka Eline Van der Velden stworzyła postać Tilly Norwood, która jest określana jako „pierwsza aktorka AI”, czyli wygenerowana przez sztuczną inteligencję. Na filmiku do złudzenia przypomina prawdziwą osobę i byłaby to tylko ciekawostka, gdyby nie zapewnienia Eline, że Tilly jest w stanie zagrać w reklamie lub pełnometrażowym filmie i nie będzie gorsza od aktorek. Holenderka zaproponowała już współpracę agentom ze świata filmu i telewizji, czym wywołała panikę w Hollywood.

U nas też mamy pierwsze takie próby. Realizatorzy serialu „M jak miłość” dzięki AI wygenerowali głos Witolda Pyrkosza i pokazali odmłodzonych Mostowiaków, co spotkało się z mieszаныmi reakcjami widzów. Już rok temu wykreowana przez AI „dziennikarka” OFF Radia Kraków przeprowadziła wywiad „na żywo” z nieżyjącą od 2012 roku noblistką Wisławą Szymborską.

Oczywiście, refleksje Chwedeńczuka dotyczą poważniejszych zagadnień. Twierdzi on, że jeśli zaczniemy na masową skalę oglądać w internecie i telewizji nieprawdziwych ludzi, albo i prawdziwych, lecz w nieprawdziwych sytuacjach, nie mając przy tym żadnego sposobu weryfikacji, to nasz świat wywróci się do góry nogami. To, co bawi jako forma rozrywki, może przerażać zastosowane do manipulowania nastrojami i poglądami. Do czego dojdziemy, jeżeli utraci sens pojęcie prawdy, fundament naszej cywilizacji wymyślony przez starożytnych Greków?

Cóż, nie sądzę, żeby w sukurs przyszła nam inteligencja, rzeczywista lub sztuczna. Spodziewam się raczej triumfalnego powrotu i rozwinięcia idei przekonujących, że świat jest tylko ułudą lub snem wariata. A kiedy rozum okaże się bezradny, może schronieniem dla prawdy okazać się nasze uczucia? ©©

MINAŁ TYDZIEŃ

Radioteleskop w ogniu

Marek Nienartowicz
marek.nienartowicz@polskapress.pl

Ależ to feta była! Nie, nie z okazji ogłoszenia przez premiera Tuska wieści, że pieniądze na radioteleskop uniwersytetu z Torunia jednak się znalazły.

O tę fetę sprzed tygodnia chodzi. Na Rynku Staromiejskim ją zorganizowali. Feta żużlowa z okazji zdobycia drużynowego mistrzostwa Polski przez jeźdźców z Torunia to była. I polityków do stanu zazdrości doprowadzić mogła.

Bo tak ludziska dopisali. No, ale nie od dziś wiadomo, że elektorat żużlowy potężny w Toruniu jest. Na oko ludzi więcej niż na razem liczonych wiecach wyborczych kandydata Trzaskowskiego i kandydata Nawrockiego sprzed kilku miesięcy było. Gdyby tych z wiecu kandydata Mentzena jeszcze dorzucić, no, to wtedy taka łączona frekwencja do tej z żużlowej fety może zbliżona byłaby.

Po kilku dniach od fety temat z Torunia o większym w Polsce rozgłosie niż mistrzostwo żużlowców się pojawił. O brak kasy z budżetu państwa na radioteleskop UMK oczywiście chodzi. To ten sprzęt w Piwnicach stojący. Poprzednio tak mocny politycznie temat z Torunia prawie pięć lat temu mieliśmy. Gdy ówczesny poseł, z list PiS-u wybrany, ten polityczny syn marnotrawny prezesa Kaczyńskiego, jako je-



Sezon żużlowy się skończył, za to koszykarski - wystartował. W towarzystwie czirliderek, rzecz jasna

den z pierwszych covidowo się zaszczepił.

A w temacie radioteleskopu ktoś się nie wypowiadał! Politycy od posła Zandberga po posła Mentzena. Ten ostatni się oburzył, choć przecież przeciw dotacjom z budżetu państwa się zdecydowanie opowiada. Posłowie minister Myrcha filmik nagrać zdążył i w internecie szybko go odpalił. Zatraskanie wielkie w nim wyraził. Ludzi PiS-u oczywiście nie wzruszył. Ci z Torunia do ataku na rząd ruszyli. By punktów wyborczych trochę wyszarpać.

Aż w końcu sam premier Tusk głos zabrał. I oznajmił, że kasa na radioteleskop będzie. Tak po prostu. Poza procedurami. Tak szybko wielki wize-

runkowy pożar ugasić trzeba było. Tym większy, że w bastionie KO/PO, za jaki Toruń uchodzi, wybuchł i na całą Polskę się rozprzestrzenił.

Ponoć w roli strażaka, wodę do gaszenia tego pożaru dostarczając, niezawodny wice-minister Karpiński wystąpił. Funkcja wiceszefa Kancelarii Premiera zobowiązuje. Z pokłonami dla premiera i wice-ministra zaraz prezydent Gulewski pospieszył. Nic to, że kasa na radioteleskop się znalazła, za to na stację na Spitsbergenie i zegar atomowy UMK nadal jej nie ma.

A kto w temacie radioteleskopu w blokach startowych został? A jakże, Lewica! A taką szansę europosłanka Scheu-

ring-Wielgus miała. Nieustannie przecież do Torunia przyznawać się stara. Choć europosłanką - przypomnieć nie zaszkodzi - z Wielkopolski jest. Zaistnieć mogła, bo ministerstwo nauki jako łup Lewicy w obecnym rządzie przecież funkcjonuje. Czyli znowu szansa obok przeszła. A Lewica w Toruniu tak tlenu potrzebuje.

Co do tlenu, to coraz bardziej go Polsce 2050 brakuje. Bo marszałek Hołownia z niej uchodzić postanowił. Wysokim komisarzem ONZ do spraw uchodźców zostać chce. Złotliwcy twierdzą, że do tych planów tylko jego wzrost pasuje. Znamy dodają, że Polsce 2050 tylko kilka miesięcy politycznego życia zostało. Pytanie więc można postawić: czy ktośkolwiek w Toruniu kogokolwiek z toruńskich działaczy tej partii kojarzy?

Do prezydenta Gulewskiego wracając - pokłony premierowi Tuskiemu i wiceministrowi Karpińskiemu z Litwy przesłał. Bo do bratniego Kowna na początku tygodnia służbowo się wyprawił. Stamtąd też prezydent dobrą nowinę w temacie sylwestra ogłosił. Czar Torunia i czar carcy telewizji, czyli eksdyrektor Terentiew, nadal na siebie działają. No, i jeszcze czar marszałka Całbeckiego i czar prezydenta Gulewskiego. I w efekcie, przy rytmach z Rynku Staromiejskiego znów transmitowanych, milionom Polakom nóżka 31 grudnia chodzić będzie. ©©

POGODA W REGIONIE

Piątek

14°C
10°C



Imieniny obchodzą dzisiaj: **Franciszek, Paulina;**
jutro: **Aldona, Emil, Marianna;**
pojutrze: **Edwin, Karol i Witold.**

Sobota

13°C
12°C



Niedziela

13°C
10°C



Przejdziowo przez cały weekend możliwe opady deszczu

PRZY SOBOCIE Z „NOWOŚCIAMI”



Wojciech Pokora. Jego wybory życiowe nie spодobały się rodzinie, bo miał zostać inżynierem. On jednak miał inny plan na swoją przyszłość. I został uznany za czarną owcę, a jeden z wujów nie podawał mu ręki.

Karierę aktorską rozpoczął w Teatrze Dramatycznym w Warszawie w 1958 roku. Grał tam prawie ćwierć wieku. W latach 80. związał się z Teatrem Nowym, a potem z Teatrem Kwadrat. Ostatnie lata spędził w Och-Teatrze.

Swoje teatralne doświadczenia wykorzystał również w popularnym kabarecie Olgi Lipińskiej.

Ponadto w numerze:

● Chrapanie to nie tylko irytujący dźwięk. Kiedy zgłosić się do lekarza?

● System kaucyjny krok po kroku. To trzeba wiedzieć!



Posłanka
Iwona Hartwich
z Torunia (KO),
mama
niepełnosprawnego
Jakuba

”

*Zapewnienie dostępu do plaży
czy kąpieliska osobom
z niepełnosprawnościami nie jest łaską.
To obowiązek wobec obywateli.*

Puls, 16

Hazard i lewe zasiłki. Afera w MOPR-ze

Małgorzata Oberlan
malgorzata.oberlan@polskapress.pl

Przez dziewięć lat Piotr R., pracując w MOPR-ze w Toruniu, popełnił ponad sto przestępstw! Łącznie wyłudził 2 mln 800 tys. zł na zasiłki dla kilkudziesięciu fikcyjnych bezdomnych!

- Przyznaję się do zarzucanych mi czynów. Bardzo wszystkiego żałuję. Hazard był moją wielką miłością, ale udało mi się z tego wyjść - mówił Piotr R. na sali sądowej.

Proces tego byłego już pracownika MOPR-u Toruń ruszył w Sądzie Okręgowym w Toruniu 1 października. Mężczyzna ma 50 lat. Przez dziewięć lat (2014-2023) tworzył w dokumentach fikcyjne postaci osób bezdomnych i na nich pobrał łącznie 2,8 mln zł zasiłków. Teraz się kaja i składa w sądzie obszernie wyjaśnienia.

Skala tego przestępczego procederu i straty Miejskiego Ośrodka Pomocy Rodzinie w Toruniu są gigantyczne.

- Ustalono, że wysokość wyrządzonej przestępstwem szkody wynosi ponad 2 mi-

liony 800 tysięcy złotych - potwierdza „Nowościom” Izabela Oliver, rzeczniczka Prokuratury Okręgowej w Toruniu.

Nikt nic nie zauważył...

Piotr R. okradał MOPR przez blisko dziewięć lat - w uzasadnieniu aktu oskarżenia mowa jest o okresie od 1 października 2014 do 31 października 2023 roku. Dyrektorami ośrodka w tym czasie byli kolejno: Kazimiera Janiszewska, Jarosław Bochenek (odwołany przez ówczesnego prezydenta Michała Zaleskiego jesienią 2020 roku), Iwona Urbańska (była p.o.) i Rafał Walter (powołany na stanowisko we wrześniu 2021 roku).

Rafał Walter szefem ośrodka jest do dziś. To on też w listopadzie 2023 roku formalnie zawiadomił prokuraturę o przestępstwie. Zgłosił wyłudzenie zasiłków na trzech fikcyjnych bezdomnych. Pracownicy MOPR-u już wtedy alarmowali śledczych i media, że skala oszustwa jest większa. I mieli rację! Zasiłki wyłudzone na kilkudziesięciu bezdomnych.

Początek tej afery pierwsze ujawniły „Nowości” - w styczniu ubiegłego roku. Nikt oprócz



Przez blisko dziewięć lat Piotr R., będąc pracownikiem MOPR-u w Toruniu, dokonał w sumie 102 przestępstw!

pracowników ośrodka nie spodziewał się chyba wtedy, o jakim przekręcie i jakich milionowych stratach miejskiej placówki jest mowa.

Jak działał Piotr R.? Śledztwo w tej sprawie przeprowadziła i zakończyła latem br. skierowaniem aktu oskarżenia do sądu Prokuratura Rejonowa Toruń Centrum-Zachód. Oto, co ustaliła.

Będąc pracownikiem MOPR Toruń mężczyzna stworzył postaci kilkudziesięciu bezdomnych. Swoim przełożonym, zajmującym się przyznawaniem zasiłków takim osobom, przedstawiał sfałszowane dokumenty. Miały podrobione podpisy itd.

Przez lata jakoś mu się to oszustwo udawało. Łącznie wydano decyzje o przyznaniu

zasiłków dla kilkudziesięciu takich spreparowanych bezdomnych.

- W ten sposób Piotr R. doprowadził do przyznania świadczeń kilkudziesięciu fikcyjnym osobom i zasilania środkami finansowymi kart przedpłaconych przyznanych osobom bezdomnym. Pieniądże wykorzystał wypłacając je dla siebie - przekazuje prokurator Izabela Oliver.

Wyjaśnijmy, że w Toruniu taka forma wypłacania zasiłku dla osób bezdomnych - nie w kasie „do ręki” czy inny sposób - budziła od początku wątpliwości wśród pracowników społecznych. Stosowana jest jednak także w innych rejonach kraju.

Podsumowując: Piotr R. podsuwał przełożonym fałszywe dokumenty, oni latami wydawali decyzje przyznające zasiłki, a on potem wypłacał sobie pieniądze z kart przedpłaconych. Gdy wreszcie afra wyszła na jaw, został zwolniony z pracy.

Z pracy do aresztu

Akt oskarżenia przeciwko Piotrowi R. trafił już do sądu. Na etapie śledztwa, jak przeka-

zuje „Nowościom” prokuratura, mężczyzna był tymczasowo aresztowany. Teraz już nie jest.

- Już na etapie śledztwa przesłuchany w charakterze podejrzanego przyznał się do popełnienia zarzucanych mu czynów i złożył wyjaśnienia zgodne z ustalonym w sprawie stanem faktycznym. Jak dodał, żałuje tego, co zrobił - przekazuje prokurator Izabela Oliver.

Co kierowało mężczyzną? Był w szponach hazardu. A co mu grozi za fałszowanie dokumentów i wyłudzenia prawie 3 mln zł? I to jako osoba posiadająca status funkcjonariusza publicznego? Kara wieloletniego więzienia. Poza tym będzie musiał naprawić szkodę, jeśli tylko tak orzeknie sąd kończąc proces wyrokiem.

- Prokuratura już wniosła o naprawienie przez niego szkody w całości - kończy prokurator Izabela Oliver.

Co natomiast z osobami odpowiedzialnymi za nadzór nad MOPR Toruń? Prokuratura nie przekazuje, by w tym zakresie prowadziła śledztwo i komuś postawiła zarzuty. ©©

MATERIAL INFORMACYJNY PGE POLSKA GRUPA ENERGETYCZNA S.A.

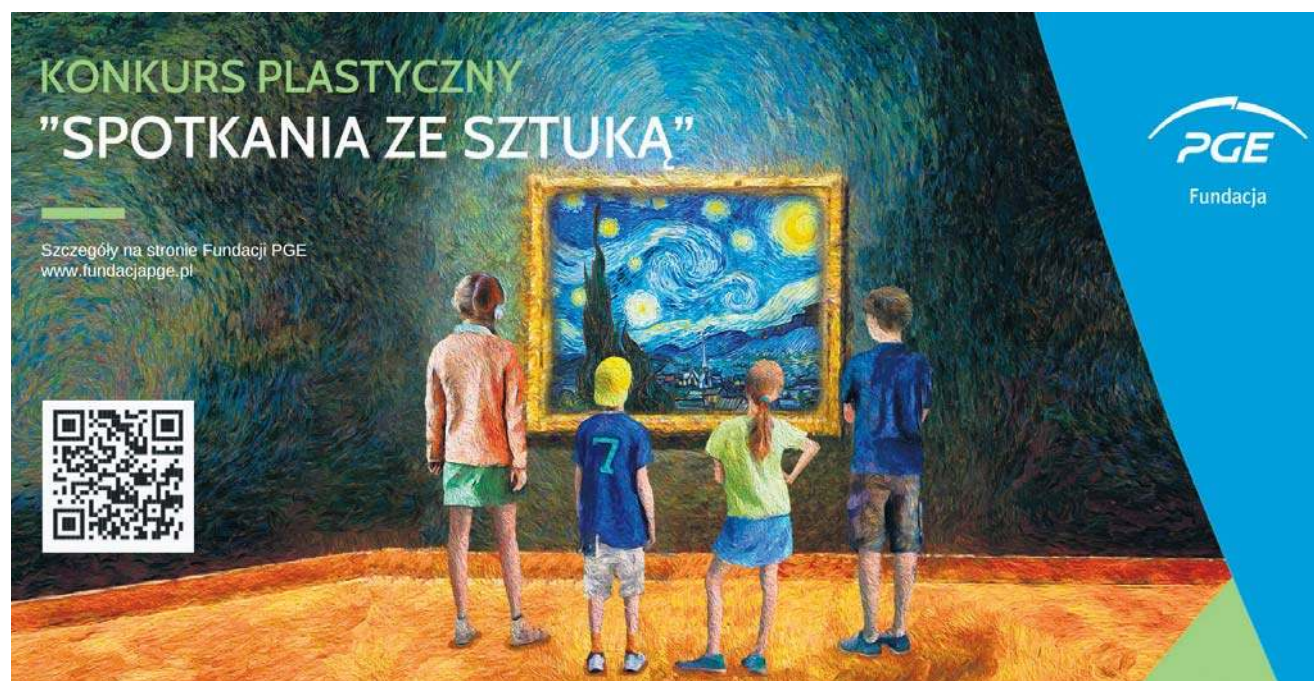
1611408616

Dołącz do artystycznej przygody i zgłoś się do konkursu „Spotkania ze sztuką”

Fundacja PGE po raz czwarty zaprasza uczniów szkół podstawowych z miejscowości liczących do 50 tys. mieszkańców do udziału w ogólnopolskim konkursie plastycznym „Spotkania ze sztuką”. W tegorocznej edycji motytem przewodnim jest twórczość Vincenta van Gogha - artysty, którego dzieła przepełnione są emocjami, barwami i niezwykłą ekspresją.

Zadaniem uczestników będzie stworzenie własnej interpretacji wybranego obrazu mistrza, wykorzystując dowolną technikę plastyczną. Prace należy wykonać na papierze technicznym w formacie A2 i przesłać do 14 listopada 2025 roku. W konkursie wyodrębnione zostały trzy kategorie: dla klas I-III, IV-VI, VII-VIII, a najlepsze dzieła zostaną zaprezentowane w muzeach narodowych w całej Polsce. Na laureatów czekają atrakcyjne nagrody, wycieczki muzealne oraz możliwość udziału w inspirujących warsztatach.

W tej edycji konkursu lista instytucji biorących udział w projekcie została rozszerzona o dwa nowe



patronat honorowy



patronat medialny



muzea: Muzeum Narodowe w Szczecinie oraz Muzeum Narodowe we Wrocławiu. Tym samym uczestnicy będą mogli odwiedzić jedno z siedmiu prestiżowych muzeów: Muzeum Narodowe w Warszawie, Lublinie, Krakowie, Kielcach, Gdańsku, Szczecinie lub Wrocławiu.

Dodatkowo, każdy laureat otrzyma indywidualną nagrodę w postaci bonu o wartości 300 zł do wykorzystania w sklepie Empik, a opiekun laureata - bon o wartości 200 zł jako wyraz uznania za zaangażowanie i wsparcie artystycznych działań uczniów.

Organizatorzy przygotowali również specjalne zadanie filmowe - relację z wycieczki muzealnej, która zostanie opublikowana na profilu szkoły na Facebooku. Pięć najpopularniejszych filmów przejdzie do finału, a trzy najlepsze szkoły otrzymają nagrody finansowe o wartości 5 000 zł, 7 500 zł oraz 10 000 zł.

Poprzednia, trzecia edycja konkursu pokazała, jak ogromny potencjał drzemie w młodych artystach z całej Polski. Wśród 2683 nadesłanych prac znalazły się również te z województwa kujawsko-

-pomorskiego, które zachwyciły jury i zdobyły zasłużone wyróżnienia. W gronie laureatów znalazły się: Zespół Szkół im. Celestyna Kamińskiego w Dąbrowie Chełmińskiej, Szkoła Podstawowa nr 7 w Brodnicy, Szkoła Podstawowa im. Janusza Korczaka w Szabdzie, Szkoła Podstawowa im. Wojska Polskiego w Dąbrowie, którzy w ramach nagrody odwiedzili Muzeum Narodowe w Warszawie oraz Muzeum Narodowe w Gdańsku. Ich sukces pokazuje, że nawet najmniejsze szkoły mogą sięgnąć po wielkie nagrody, jeśli tylko zdecydują się wziąć udział.

Organizatorzy zachęcają wszystkie szkoły podstawowe z województwa kujawsko-pomorskiego - z miejscowości poniżej 50 tys. mieszkańców - do udziału w IV edycji konkursu „Spotkania ze sztuką”. To okazja do rozwijania kreatywności i wyobraźni uczniów, ale także szansa na zaprezentowanie talentu szerszej publiczności.

Sztuka jest blisko, wystarczy po nią sięgnąć. Może to właśnie Wasza szkoła znajdzie się w gronie tegorocznych zwycięzców?

Toruń

Kursanci tracą pozycje, dowódcy WOT szkolą

Marek Nienartowicz
marek.nienartowicz@polskapress.pl

Odgłosy strzałów słychać od kilku dni w rejonie ulicy Polnej w Toruniu. To ćwiczenia praktyczne żołnierzy Wojsk Obrony Terytorialnej, uczestniczących w „Kursie walki w mieście”.

Zadanie: utrzymać północną część Torunia i nie dopuścić do przeniknięcia sił wroga w głąb miasta. Taki - w zarysie - był scenariusz „Kursu walki w mieście”. Zorganizowało go Centrum Szkolenia WOT.

W kursie uczestniczą dowódcy najniższych szczebli taktycznych. Najpierw mieli dwa tygodnie zajęć z teorii.

- Ta część obejmowała planowanie działań, zabezpieczenie medyczne, logistyczne, procedury taktycznego dowodzenia - wyjaśnia pułkownik rezerwy Piotr Lewandowski z Centrum Szkolenia WOT.

Część druga to praktyka. Zajęcia trwają tydzień, w siedzibie Centrum Szkolenia WOT przy ulicy Polnej 8. To stamtąd od kilku dni słychać odgłosy strzałów. Zajęcia w czwartek były otwarte dla mediów.

Strzały w mieście

Bardzo zadbano o realność praktycznych ćwiczeń. Z głośników dochodziły odgłosy zbliżającego się ciężkiego sprzętu wojskowego. Kursanci mieli za zadanie obronę dwóch budynków. Atakowali ich instruktorzy z Centrum Szkolenia WOT. W sumie w zajęciach uczestniczyło około 90 osób.



Czwartek zajęcia „Kursu walki w mieście” w Centrum Szkolenia WOT przy ulicy Polnej były otwarte dla mediów

Podczas ulicznej walki słychać strzały z karabinów. Żołnierze z obu stron strzelają do siebie ślepyimi nabojami. Ich karabiny są jednocześnie wyposażone w lasery. Żołnierze na hełmach i kamizelkach mają specjalne czujniki. Trafienie w nie laserem powoduje wyeliminowanie z walki trafionego. W użyciu były też drony.

Podczas pierwszej części czwartkowych zajęć kursanci ponoszą porażkę. Atakujący zdobywają budynki.

- Krótco byłem wśród broniących budynki, szybko zostałem wyeliminowany z walki - opowiada jeden z kursantów.

Ważne wnioski z kursu

Po pierwszej części czwartkowych zajęć przychodzi czas na podsumowanie.

- Błędy podczas takich zajęć są tak samo ważne jak sukcesy, a może nawet ważniejsze. Na nich się uczymy, z nich wyciągamy wnioski - mówi pułkownik Lewandowski.

Instruktorzy wskazują na błędy kursantów. To np. nieprecyzyjne meldunki.

- Nie jestem zadowolony, bo straciliście część pozycji rejonu umocnionego „Czarny”. A celem było ich utrzymanie, za wszelką cenę - to kolejna z uwag po pierwszej części czwartkowych zajęć.

W związku z utratą budynków broniący ich musieli ponieść karę taktyczną.

Przed drugą częścią ćwiczeń stracili pierwszy okop. Bez niego musieli odparować atak przeciwnika, znów szturmującego budynku. ©©

Do przebudowy Olsztyńskiej przeszkód formalnych nie ma

Marek Nienartowicz
marek.nienartowicz@polskapress.pl

Coraz bliżej do rozpoczęcia przebudowy ulicy Olsztyńskiej. W październiku ma zostać podpisana umowa z wykonawcą tej inwestycji.

Przypomnijmy, że ulica Olsztyńska ma zostać przebudowana na odcinku jednojezdniowym, między skrzyżowaniem z ulicą Czekoladową a granicą Torunia, na dwujezdniową. Realizację tej inwestycji obiecał prezydent miasta Paweł Gulewski podczas kampanii przed ostatnimi wyborami samorządowymi.

Koszt przebudowy był szacowany na około 145 mln zł. W przetargu na wykonawcę tej inwestycji zaoferowane kwoty były jednak niższe. Najkorzystniejszą cenowo propozycję złożyło konsorcjum firm Balzola Polska i Lantania. Opiewała na blisko 103 mln zł.

Rozprawy nie było

Tę ofertę wybrał pod koniec sierpnia Miejski Zarząd Dróg w Toruniu. Nie mógł jednak podpisać umowy z konsorcjum, gdyż odwołanie do Krajowej Izby Odwoławczej skierowała firma Trakcja. Złożyła drugą w kolejności najtańszą ofertę - o 20 mln zł brutto droższą od tej złożonej przez konsorcjum Balzola Polska - Lantania.



W efekcie przebudowy Olsztyńska będzie ulicą dwujezdniową - o dwóch pasach ruchu

Odwołaniem Trakcji KIO miała się zająć podczas rozprawy zaplanowanej na czwartek, 9 października. Do rozprawy jednak nie doszło. Trakcja dzień wcześniej wycofała odwołanie. Jej przedstawiciele przekonali mieli argumenty MZD o prawidłowości procedury przetargowej.

W październiku ma zostać podpisana umowa na przebudowę ulicy Olsztyńskiej. Wykona ją konsorcjum Balzola Polska - Lantania.

Tym samym prawomocna stała się decyzja MZD o wyborze konsorcjum firm Balzola Polska i Lantania jako wykonawcy przebudowy ulicy Olsztyńskiej.

W październiku ma zostać podpisana umowa na realizację tego zadania. Wspomniane konsorcjum będzie miało na to 30 miesięcy.

- Inwestycja będzie realizowana w formule „optymalizuj i buduj”. W praktyce oznacza to, że w pierwszych miesiącach od podpisania umowy wykonawca zaktualizuje projekt wykonawczy, aby go realizować -

wyjaśnia Ireneusz Makowski, dyrektor Miejskiego Zarządu Dróg w Toruniu.

Co się zmieni na wschodzie?

W ramach przebudowy ulicy Olsztyńskiej zaplanowano:

- budowę dwóch jezdni o szerokości 7 m - każda będzie miała po dwa pasy ruchu;
 - budowę wiaduktu z kładką pieszo-rowerową nad linią kolejową nr 27 relacji Nasielsk - Toruń Wschodni;
 - rozbiórkę istniejącej nawierzchni ulicy Olsztyńskiej;
 - budowę chodników, tras rowerowych i dróg dojazdowych;
 - budowę oświetlenia;
 - budowę czterech tzw. skanalizowanych skrzyżowań, w tym ronda turbinowego na skrzyżowaniu ulic Ceramicznej i Nowy Przelot;
 - wykonanie przepustów na Strudze Toruńskiej wraz z konserwacją rzeki;
 - budowę ekranów akustycznych;
 - przebudowę urządzeń infrastruktury technicznej, linii energetycznych, gazowych, telekomunikacyjnych, sieci wodociągowej, sanitarnej i deszczowej.
- Warto dodać, że firma Balzola buduje obecnie fragment trasy staromostowej w centrum Torunia między ulicą Dekerta a Czerwoną Drogą. Inwestycja realizowana jest bardzo sprawnie. Prawdopodobnie do końca roku ten fragment trasy zostanie udostępniony do ruchu. ©©

Sztuki walki i wyzwania w Arenie Toruń

Justyna Wojciechowska-Narloch
justyna.wojciechowska-narloch@polskapress.pl

„100 Kata Challenge” - pod takim hasłem w sobotę, 11 października odbędzie się wielka impreza w Arenie Toruń. Sportowym wyzwaniem towarzyszyć będą rozmowy o długowieczności.

W sobotę Arena Toruń stanie się miejscem wyjątkowego spotkania miłośników sztuk walki, kultury wschodu i promocji zdrowia. Odbędzie się tu „100 Kata Challenge” - impreza organizowana przez Klub Karate Tradycyjnego Kumade pod kierunkiem sensei Anny Kulczyńskiej (6 dan).

Wydarzenie, które rozpoczyna się w sobotę o godz. 10 w Arenie Toruń przy ulicy Bema, skierowane jest przede wszystkim do miłośników japońskich sztuk walki. Wyzwanie polega na wykonaniu stu



Tak wyglądała ubiegłoroczna akcja w Arenie Toruń. Kolejna edycja już 11 października o godz. 10

powtórzeń układu kata - czyli tradycyjnej kompilacji technik uderzeń oraz bloków. Może w nim wziąć udział każdy, bez względu na wiek. Organizatorzy zaplanowali liczne aktywności towarzyszące imprezie związane z japońskim stylem życia, tamtejszą kulturą i sztuką. Będzie też mowa o długowieczności.

- To nie tylko trening, lecz duchowe wyzwanie - symboliczne wykonanie stu powtórzeń układów kata, które łączy uczestników w dążeniu do równowagi ciała, umysłu i ducha - mówi Anna Kulczyńska.

„100 Kata Challenge” - wyzwanie i wspólny trening na głównej arenie zaplanowano w godzinach od 11:15

do 14. Warsztaty i wykłady odbywać się będą w godz. 10-14 w sali konferencyjnej obok areny.

Będą to: Piotr Kucharek „Jeśli musisz walczyć, walcz” - samoobrona i praca ze strachem, Agnieszka Bocian - „Przełam nieMOC, odzyskaj MOC”, Aneta Stryjewska - „Sztuka oddechu”, Małgorzata Kołodziej - „Ikigai - pasja i relacje dla zdrowia”, Joanna Michalska - „Holistyczne działania w drodze do odzyskania zdrowia”, Wojciech Nowak - „Sztuka kaligrafii japońskiej”.

Na uczestników czekają także: Fundacja Toruńskie Amazonki, warsztaty samobadania i stoiska promujące zdrowy styl życia. Tegoroczne hasło to „Umysł - Duch - Ciało. Recepta na długowieczność”.

Wydarzenie jest otwarte dla wszystkich i bezpłatne. Wystarczy przyjść, by wziąć udział w warsztatach. ©©

MATERIAŁ INFORMACYJNY WODY POLSKIE

Chroń się przed powodzią - skorzystaj z wykupów nieruchomości!

0011380135

Powodzie stają się coraz poważniejszym zagrożeniem, szczególnie dla mieszkańców terenów położonych w sąsiedztwie rzek. W odpowiedzi na rosnące ryzyko, Skarb Państwa oferuje możliwość wykupu nieruchomości o wysokim zagrożeniu powodziowym (w zasięgu wody 10-letniej). To szansa na zwiększenie bezpieczeństwa i uniknięcie przyszłych strat materialnych.

Powódzie to dziś jedno z najważniejszych zagrożeń naturalnych, z jakimi mierzy się Polska. Zmiany klimatyczne, coraz intensywniejsze opady oraz urbanizacja terenów położonych w sąsiedztwie rzek sprawiają, że ryzyko wystąpienia katastrofy rośnie z roku na rok. Dlatego świadoma ocena zagrożenia i ryzyka powodziowego jest kluczowa dla skutecznej ochrony ludzi, mienia i środowiska. Tragiczne skutki przyniosła powódź z września 2024 r., która dotknęła południowo-zachodnią część kraju. W ciągu 22 dni żywioł zniszczył tysiące domów, dróg i obiektów publicznych, a straty materialne przekroczyły 13 mld zł. Poszkodowanych zostało prawie 250 tys. osób, a fala powodziowa zalała ponad 10 tys. budynków mieszkalnych oraz ponad 800 obiektów o szczególnym znaczeniu społecznym, takim jak szkoły, urzędy czy szpitale. Pod wodą znalazło się też 29 tys. hektarów upraw rolnych. Skala zniszczeń pokazała, że konieczne są nowe rozwiązania – w tym możliwość wykupu nieruchomości przez Skarb Państwa dla mieszkańców terenów szczególnie zagrożonych przez powódź.

Zasady wykupu nieruchomości na terenach zagrożonych powodzią

Wykup nieruchomości może nastąpić w dwóch przypadkach. Pierwszym z nich jest potrzeba zapewnienia swobodnego przepływu wód powodziowych. W takiej sytuacji wykup jest możliwy, jeśli położenie nieruchomości względem rzeki oraz ukształtowanie terenu wskazują, że obszar powinien być przeznaczony na cele przeciwpowodziowe. Dodatkowo, istniejąca zabudowa nie może mieć dużej wartości historycznej, artystycznej ani kulturowej, a jej usunięcie nie powinno powodować istotnych strat. Korzyści wynikające z wykupu muszą prze-



Program wykupów nieruchomości przez Wody Polskie

Wody Polskie mogą, za zgodą właściciela, wykupić nieruchomość położoną na obszarze szczególnego zagrożenia powodzią, gdzie prawdopodobieństwo wystąpienia powodzi jest wysokie i wynosi co najmniej 10 procent. Nieruchomość jest nabywana na rzecz Skarbu Państwa, a celem takiego działania jest zapewnienie skutecznej ochrony przeciwpowodziowej. Procedura planowania wykupów obejmuje wystąpienia Wód Polskich do gmin, na terenie których miały miejsce powodzie, z prośbą o opinię dotyczącą nieruchomości, których wykup należy rozważyć jako zasadny. Do 30 czerwca każdego roku Wody Polskie przekazują ministrowi właściwemu do spraw gospodarki wodnej zapotrzebowanie na środki finansowe na wykupy planowane w kolejnym roku. Zapotrzebowanie to uwzględnia stopień zniszczenia obiektów oraz ich wpływ na ochronę przeciwpowodziową, na przykład to, czy utrudniają przepływ wód powodziowych. Minister przekazuje zapotrzebowanie dalej - do ministra właściwego do spraw finansów, celem zabezpieczenia środków finansowych na cel przyszłych wykupów. Na realizację wykupów nieruchomości przeznaczono 800 mln złotych do 2034 r. Środki pochodzą z budżetu państwa. Głównym celem programu jest zapewnienie ochrony ludności i mienia przed powodzią poprzez umożliwienie mieszkańcom budynków zniszczonych lub uszkodzonych w wyniku powodzi zmiany miejsca zamieszkania.

wyższać koszty finansowe i społeczne. Drugim przypadkiem jest potrzeba ochrony ludności i mienia. Wykup może nastąpić, jeśli budynek został zniszczony lub uszkodzony przez powódź, a jego odbudowa lub remont są niecelowe ze względu na ryzyko ponownego zniszczenia. Decyzja o wykupie uwzględnia położenie budynku, jego stan

techniczny, otoczenie oraz liczbę mieszkańców, co może wskazywać na zasadność umożliwienia zmiany miejsca zamieszkania. W przypadku zniszczenia budynków przez powódź wykupowi mogą podlegać nieruchomości gruntowe, a także budynkowe zabudowane na cele mieszkalne oraz inne

niż mieszkalne. Do takich nieruchomości należą m.in. działki z budynkami mieszkalnymi, zgodnie z Polską Klasyfikacją Obiektów Budowlanych, z wyłączeniem budynków zamieszkania zbiorowego, a także lokale mieszkalne stanowiące odrębną własność w tych budynkach. Dodatkowo, wykup może objąć inne nieruchomości – na przykład z budyn-

kami o innym przeznaczeniu lub niezabudowane – jeśli ich pozyskanie jest konieczne dla zapewnienia bezpieczeństwa powodziowego, zwłaszcza gdy sąsiadują z już wykupionymi budynkami mieszkalnymi.

Jak ustalana jest cena wykupu?

Cena wykupu nieruchomości ustalana jest na podstawie wyceny rzeczoznawcy majątkowego. W przypadku ogólnym jest to wartość rynkowa nieruchomości powiększona o 20 procent. W przypadku legalnie wzniesionych zniszczonych budynków mieszkalnych uwzględnia się wartość gruntu, wartość budynków i lokali mieszkalnych według stanu z dnia poprzedzającego powódź, wartość pozostałych legalnych naniesień, takich jak garaże, również podlega wycenie, a całość oszacowanej kwoty również powiększa się o 20 procent.

Zakaz zabudowy na terenach wykupionych

Aby skutecznie chronić ludzi przed powodzią, na terenach wykupionych przez Wody Polskie obowiązują ograniczenia dotyczące zabudowy. Na tych obszarach nie wolno wznosić nowych budynków ani rozbudowywać czy odbudowywać istniejących. Zakazy te nie obowiązują w przypadku prac związanych z budową, utrzymaniem lub modernizacją wałów przeci-

powodziowych oraz innych obiektów służących ochronie przed powodzią. Jeżeli jednak zachodzi potrzeba poprowadzenia przez taki teren drogi, linii energetycznej lub innego elementu infrastruktury, Wody Polskie mogą wydać zgodę na odstępstwo od zakazu zabudowy. Warunkiem jest brak możliwości poprowadzenia tej infrastruktury w innym miejscu oraz zapewnienie odpowiedniego poziomu ochrony przeciwpowodziowej.

Bezpieczna przyszłość zaczyna się dziś - skorzystaj z możliwości wykupu

Dobrowolny wykup nieruchomości przez Wody Polskie to nie tylko szansa na poprawę bezpieczeństwa powodziowego, ale także realna pomoc dla mieszkańców, którzy znaleźli się w trudnej sytuacji po zalaniu domów przez wody powodziowe. To rozwiązanie, które pozwala uniknąć kolejnych strat, daje możliwość rozpoczęcia życia w nowym, bezpiecznym miejscu i wspiera odbudowę lokalnych społeczności. Jeśli Twoja nieruchomość znajduje się na obszarze szczególnego zagrożenia powodzią, warto rozważyć udział w tym programie – to krok w stronę stabilności, bezpieczeństwa i lepszej przyszłości.

Sprawdź, czy mieszkasz na terenie zalewowym

Jeśli nie masz pewności, czy Twoje miejsce zamieszkania jest bezpieczne pod względem zagrożenia powodziowego, warto skorzystać z Hydroportalu. To narzędzie dostarcza kluczowych informacji, które wspierają podejmowanie trafnych decyzji w zakresie ochrony przed powodzią – zarówno przez osoby prywatne, jak i instytucje. Hydroportal zapewnia dostęp do map zagrożenia i map ryzyka powodziowego, opracowanych na podstawie modeli hydraulicznych oraz danych statystycznych. Mapy te przedstawiają obszary narażone na zalanie w wyniku wezbrań wód rzek, sztormów czy awarii budowli hydrotechnicznych. Uwzględniają różne scenariusze powodziowe, w tym te o prawdopodobieństwie wystąpienia średnio raz na 10, 100 lub 500 lat, a także zdarzenia ekstremalne.

Wejdź na Hydroportal
https://wody.isok.gov.pl/imap_kzgw



Studnia, a może drewniany dom z XIV wieku? Zaskakujące odkrycia pod Domem Kopernika

Szymon Spandowski
szymon.spandowski@polskapress.pl

Badacze pracujący przy kamienicy przy ulicy Kopernika 15/17 w Toruniu odkryli pozostałości doskonale zachowanej konstrukcji drewnianej pochodzącej sprzed budowy Domu Kopernika.

Mogłoby się wydawać, że gdzie jak gdzie, ale w Domu Kopernika przy ulicy jego imienia żadna wielka niespodzianka już na badaczy historii Torunia nie czeka. Naukowcy przebadali tam prawie każdą cegłę, i belkę, a pod ziemię również tu i tam przy różnych okazjach zaglądali. Z drugiej strony jednak najwyraźniej należy się przyzwyczaić do tego, że Toruń wciąż zaskakuje.

Najpierw buty, teraz studnia albo dom

W przypadku badań archeologicznych, które rozpoczęły się latem na podwórzu domu przy ulicy Kopernika 15/17, niespodzianką były znalezione pod ziemią kilkusetletnie buty,



To, co odkryli archeolodzy przy ulicy Kopernika, jest narożnikiem wielkiej studni albo drewnianego domu

o czym już informowaliśmy. A potem było jeszcze ciekawiej.

Na dnie wykopu, w mieście gotyku na dotyk, odsłoniły się pozostałości jakiejś bardzo solidnej konstrukcji. Ceglanej? Właśnie nie, drewnianej! Kopiąc w głąb ziemi i historii, archeolodzy dotarli do warstw z XIV wieku.

- Odkryliśmy bardzo ciekawe konstrukcje drewniane różnego typu - mówi Leszek Kucharski,

kierownik oddziału archeologicznego Muzeum Okręgowego w Toruniu. - Trafiliśmy na coś, co mogło być bardzo dużą studnią albo fragmentem drewnianego domu budowanego na zrąb, z bardzo pięknie obrobionym węglem. Nie wiemy jeszcze, co to jest, bo jak dotąd odsłoniliśmy jedynie narożnik.

Poza tym z ziemi wyłania się belka z wbitym w nią kołkiem, być może relikwiarz średniowiecz-

nego płotu i kolejne potężne i bardzo dobrze zachowane deski lub belki w dość dziwnym układzie, bo idące pod skosem.

- Zobaczymy, co to za cudo, to się dopiero okaże - mówi Leszek Kucharski.

Do tego sporo ceramiki, skór, muszla szczęzi, ludzki ząb i... dużo pestek owoców.

Wygląda na to, że drewniane konstrukcje pochodzą sprzed budowy kamienicy Koperników, a datę jej powstania udało się ustalić dość dokładnie dzięki badaniom, jakie kilka lat temu przeprowadzili prof. Ulrich Schaaf i dr Maciej Prarat z UMK. Naukowcy ustalili, że drzewo, z którego zbudowany został oryginalny fragment więźby dachowej, zostało ścięte około 1370 roku. Drewno z tajemniczej konstrukcji, rzecz jasna, również zostanie poddane badaniom dendrochronologicznym.

Im bardziej w głąb, tym więcej znaków zapytania. Jeżeli archeolodzy trafili na narożnik studni, to byłaby to największa studnia odkryta do tej pory na toruńskiej starówce. Stud-

nie, jak już pisaliśmy, są dla badaczy przeszłości bezcennymi kopalniami informacji. Są pełne przedmiotów codziennego użytku, które wpadały tam podczas czerpania wody, albo gdy studnia przestawała pełnić swoją pierwotną funkcję i stawała się... śmietnikiem.

Prace zatrzyma zima

Jeżeli jednak w wykopie pojawił się narożnik domu, to oznacza, że będzie trzeba zmienić mapę średniowiecznego Torunia.

Dom Kopernika jest wskazywany jako miejsce, w którym podział działek od średniowiecza pozostaje bez zmian. Lokalizacja odkrytej konstrukcji wydaje się jednak temu przeczyć. Aby te wątpliwości rozwiązać, należałoby poszerzyć wykop. Z tym jest jednak problem, ponieważ wykop przylega do średniowiecznego muru, który nie ma fundamentu i może się przewrócić.

Sytuacja się zatem komplikuje. Wykop i tak jest już ostemplowany, a trzeba zorganizować kolejne zabezpieczenia.

W związku z tym prace zostaną przerwane. Zimą, czyli jak to mówią archeolodzy, w sezonie biurowym, będzie trzeba przygotować nową dokumentację, aby wznowić prace wiosną.

- Pozostaje jeszcze kwestia średniowiecznej oficyny, która znajdowała się nieco dalej na północ i jest zaznaczona na planach Zbigniewa Nawrockiego - mówi Michał Kłosiński, kierownik Domu Kopernika, oddziału Muzeum Okręgowego. - Być może pod ziemią wciąż jest piwnica tej oficyny.

Badania sondażowe archeolodzy również mają zamiar przeprowadzić w przyszłym roku. Plan badań będzie zatem trzeba zaktualizować i pomyśleć nad wyeksponowaniem najnowszych znalezisk.

Tym razem chodzi przecież o relikwiarz budynków znajdujących się na terenie muzeum, przy którym zatrzymują się wszystkie wycieczki. No i konstrukcje drewniane sprzed setek lat są eksponowane np. w Biskupinie, ale w ceglanym Toruniu coś takiego byłoby wielkim rarytasem. ©©

„Bad Boy” trafił za kratki - za bójkę z użyciem maczety

Małgorzata Oberlan
malgorzata.oberlan@polskapress.pl

Po bójce z użyciem maczet przy ulicy Podgórskiej w Toruniu Denis Z., znany jako „Bad Boy”, trafił do aresztu. Czy to koniec kariery znanego freaka fightera i influencera?

3 października zahuczało. Internet obiegił wieści o tym, że „Bad Boy” z Torunia został zatrzymany. Wpadł w ręce policji niecałą dobę po tym, jak wieczorem miał brać udział w bójce.

Jej uczestnikami mieli być też walczący w MMA Bartosz S. oraz piętnastoletni zaledwie Natan. Mieli mieć przy sobie maczety, petardy hukowe i przedmioty przypominające broń.

Bójka czy ustawka?

Za udział w bójce z niebezpiecznymi narzędziami grozi surowa kara: do 8 lat więzienia. Nawet wtedy, gdy nikt w niej nie zostanie ranny. A tak chyba jest w tym przypadku - komunikat policji ze szczegółami informuje o wydarzeniach i zatrzymaniu, ale nie ma słowa o tym, by ktoś w potyczce został pokrzywdzony.

W kraju o sprawie głośno, bo „Bad Boy” jeszcze przed chwilą



Denis Z. z Torunia, znany influencer i freak fighter właśnie trafił do tymczasowego aresztu na trzy miesiące

udzielał wywiadów, promował się w internecie i dalej „monetyzował”, co się dało. Teraz został tymczasowo aresztowany na trzy miesiące, a losy jego dalszej kariery rysują się mgliście. Chyba, że - jak twierdzi pewne grono wtajemniczonych - cała ta bójka była ustawką - miała podgrzać atmosferę wokół

Denisa i przysporzyć mu szacunku w środowisku.

Kim jest Denis Z.?

Kiedyś wiódł prym wśród elanowców. Ostatnio jednak jego relacje z macierzystym środowiskiem kibicowskim zrobiły się szorstkie, ogólnie rzecz ujmując.

W oczach wielu stracił szacunek prezentując butę i arogancję wobec fanów MMA, a także skupiając się na zarabianiu pieniędzy w sieci. Z częścią elanowców „Bad Boy” miał się silnie skonfliktować, m.in. atakując niektórych w internetowych nagraniach.

Przez ostatnie kilka lat Denis Z. był jednym z najbardziej znanych zawodników MMA i freak fighterów. W Toruniu organizował turnieje The War, podczas których walczono w tzw. klatkach na gołe pięści.

Brutalne i krwawe - tak były reklamowane te walki i takie faktycznie bywały. Organizatorzy zarabiali na biletach i sprzedaży dostępu PPV do oglądania walk. Imprezy tego typu były i są legalne. W Toruniu jednak na początku budziły wiele emocji i kontrowersji.

Organizatorzy tych brutalnych walk dla ocieplenia wizerunku chętnie chwalili się swoją społeczną wrażliwością. Przekazywali pomoc dla domu dziecka czy dziecięcemu hospicjum w Toruniu. Denis Z. na licytację dla Hospicjum Nadzieja oddał np. w 2022 roku swoje rękawice. Podobnie zrobił jego ojciec Dawid, również zawodnik.

Denis Z. sam jednak walczył na różnych arenach. W ostat-

nich czasach jednak naraził się wielu fanom takich pojedynków. Latem br. został nawet wykluczony z gali na „Fame 26: Golden Tournament”. Powodem było agresywne zachowanie na konferencji przed nią.

Zarobki w internecie

Ostatnie miesiące to czasy intensywnej i dla wielu szokującej działalności Denisa Z., jako influencera. Zarzucono mu, że „monetyzuje” wszystko - łącznie z prywatnością i sferą intymną. Internetowe dramy śledziły rzesze ciekawskich, a dotyczyły one także partnerki torunianina - Sandry S.

Obecnie „Bad Girl”, bo taki pseudonim z kolei przybrała młodziutka Sandra, ma być już extowarzystką Denisa. Zaistniała i zarabiała nie tylko uczestnicząc w walkach (wstęp do tego świata zapewnił jej „Bad Boy”). Bulwersowała jednak, a elektryzowała innych nagraniami o treściach erotycz-

nych, publikowanych na specjalnych platformach.

Dopytywany o to Denis Z. w jednym z wywiadów twierdził, że dają sobie z partnerką pełną wolność, a oboje od dawna jeżdżą po kraju na spotkania swingersów. Pieprzu do tego wszystkiego dodawały dramaty wywoływane przez matkę Sandry.

Decyzja należy teraz do sądu

Denis Z. wchodził już w przeszłości w konflikty z prawem. Teraz siedzi w areszcie i zapewne za bójkę przy ulicy Podgórskiej odpowie przed sądem.

- Za udział w bójce z użyciem niebezpiecznych narzędzi grozi kara do 8 lat pozbawienia wolności, przy czym w omawianym przypadku mamy także do czynienia z występkiem chuligańskim. Decyzja o ostatecznym wymiarze kary będzie należała do sądu - zaznacza asp. Dominika Bocian, rzeczniczka toruńskiej policji.

- Co to za bójka bez sinia-ków? Gdyby policja tego nie nagłośniła, nikt by się nad tym nie pochyłał - mówi nam znany w Toruniu adwokat (zastrzegając anonimowość). ©©

„Bad Boy”, czyli Denis Z. odpowie za udział w bójce z użyciem niebezpiecznych narzędzi i występkiem chuligański.

DO UDZIAŁU W KONKURSIE ZAPRASZA MARSZAŁEK WOJEWÓDZTWA PIOTR CAŁBECKI

KUJAWY
POMORZE



WEŹ UDZIAŁ W KONKURSIE

i wygraj podwójne zaproszenie na warsztaty kulinarne z **Michелеm Moranem**



Jeżeli lubisz gotować, próbować nowych smaków i eksperymentować w kuchni to konkurs w sam raz dla ciebie!

Napisz w maksymalnie 11 słowach, dlaczego to właśnie ty powinnaś lub powinieneś otrzymać zaproszenie na gęsinowe warsztaty kulinarne. Jednym z tych słów musi być „gęsina”.

Autorów siedmiu najciekawszych i najbardziej kreatywnych odpowiedzi nagrodzimy dwuosobowymi zaproszeniami na warsztaty z Michele Moranem, które odbędą się **7 listopada 2025 roku w Toruniu**. Ich głównym tematem będzie gęsina odmieniana przez wszystkie kulinarne przypadki.

Na twoje zgłoszenie czekamy **od 1 do 18 października.**

Szczegóły, regulamin i formularz zgłoszeniowy znajdziesz na stronie:

www.nowosci.com.pl/gesina



ORGANIZATOR KONKURSU: POLSKA PRESS SP. Z O. O.

KONKURS ODBYWA SIĘ W RAMACH AKCJI „KUJAWSKO-POMORSKA GĘSINA NA ŚW. MARCINA”, KTÓREJ ORGANIZATOREM JEST SAMORZĄD WOJEWÓDZTWA KUJAWSKO-POMORSKIEGO

www.kujawsko-pomorskie.pl



Samorząd Województwa
Kujawsko-Pomorskiego



Rzeczpospolita
Polska

Dofinansowane przez
Unię Europejską



Samorząd Województwa
Kujawsko-Pomorskiego

Profilaktyka nowotworowa – codzienne wybory, które mogą uratować życie

Nowotwory to jedno z największych wyzwań współczesnej medycyny. W obliczu rosnącej liczby zachorowań, profilaktyka staje się nie tylko medycznym obowiązkiem, ale i społeczną koniecznością. Jednak, jak tłumaczy dr Tomasz Mierzwa, koordynator Zakładu Profilaktyki i Promocji Zdrowia Centrum Onkologii, to nie tylko badania. To także styl życia i decyzje, które podejmujemy każdego dnia.



Jak tłumaczy dr Mierzwa, działania profilaktyczne dzielą się na dwa główne nurty: pierwotny i wtórny. Pierwszy to edukacja, zdrowy styl życia, szczepienia i unikanie czynników ryzyka. Drugi – badania przesiewowe, które pozwalają wykryć chorobę na wczesnym etapie. – *Profilaktyka pierwotna to działania, które mają nie dopuścić do wystąpienia choroby nowotworowej. Profilaktyka wtórna to badania, które mają ją wykryć, zanim da objawy* – wyjaśnia ekspert.

CZNNIKI RYZYKA, KTÓRE MOŻNA KONTROLOWAĆ

– *Palenie papierosów to nasza decyzja* – mówi dr Mierzwa, wskazując, że uzależnienie to odpowiada za 90-95% przypadków raka płuc. W dymie tytoniowym znajduje się aż 6000 substancji chemicznych, z czego co najmniej 60 to silne czynniki rakotwórcze. – *Każdy palacz zamyka się codziennie w komorze gazowej. To drastyczne porównanie, ale oddaje skalę zagrożenia* – dodaje.

Podobnie alkohol – choć specjalista nie nawołuje do całkowitej abstinencji, zaleca umiarkowane spożycie, wskazując, że to, co przyjemne, często jest najbardziej szkodliwe.

Do tego dochodzi zdrowa dieta i aktywność fizyczna. – *Tak ma wyglądać nowoczesna profilaktyka i nie da się od tego uciekać* – zaznacza specjalista.

SZCZEPNIENIA – SKUTECZNA BROŃ PRZECIWKO WIRUSOM ONKOGENNYM

W profilaktyce nowotworowej ogromną rolę odgrywają szczepienia.

– *Nie ma szczepionek przeciwko nowotworom, ale są przeciwko chorobom, które mogą do nich prowadzić* – tłumaczy dr Mierzwa. Przykładem są szczepienia przeciwko wirusowi HPV, który odpowiada nie tylko za raka szyjki macicy, ale także nowotwory odbytu, prącia, jamy ustnej czy gardła.

– *To szczepienie dedykowane jest młodzieży, zarówno dziewczętom, jak i chłopcom. Chodzi o to, by zanim rozpoczną życie seksualne, ich organizm był przygotowany na kontakt z wirusem* – dodaje.

BADANIA PRZESIEWOWE – SZANSA NA WCZESNE WYKRYCIE

Dostępne w Polsce programy profilaktyczne obejmują m.in. mammogra-

fię, cytologię i kolonoskopię. Niestety, jak zauważa dr Mierzwa, ciągle mamy z tym wielki problem – zgłaszalność do badań mammograficznych wynosi około 30-35%, a powinna sięgać 70-75%.

W przypadku kolonoskopii, aż 30% osób zgłaszających się bezobjawowo ma polipy, z których część to stany przedrakowe. – *To badanie może uratować życie. Trwa 20-25 minut, a w razie potrzeby można je wykonać w znieczuleniu ogólnym* – tłumaczy ekspert.

Po wakacjach warto przyjrzeć się swojej skórze. – *Każde oparzenie słoneczne w dzieciństwie to kilka procent więcej ryzyka zachorowania na nowotwór skóry w przyszłości* – ostrzega dr Mierzwa. Zaleca coroczne badanie dermatoskopowe, które pozwala ocenić znamiona

i w razie potrzeby usunąć podejrzane zmiany. – *Ten zabieg może dać nam spokój na rok lub pozwolić na szybkie leczenie* – dodaje.

KUJAWSKO-POMORSKIE – REGION PODWYŻSZONEGO RYZYKA

Nasze województwo znajduje się w czołówce krajowej pod

względem zachorowalności i umieralności na nowotwory. Centrum Onkologii prowadzi działania edukacyjne, m.in. program „Szkoła w profilaktyce onkologicznej”, który ma na celu uświadamianie młodzieży i kształtowanie zdrowych nawyków. – *To młodzi ludzie mają być awangardą, mają zanieść wiedzę do domu, wpłynąć na rodziców, zadbać o siebie i innych* – podkreśla dr Mierzwa.



Zachęcamy do wysłuchania całej rozmowy z dr. Tomaszem Mierzwą – w podcaście „Porozmawiajmy o” dostępnym na serwisie internetowym „Nowości – Dziennika Toruńskiego”.



ZOBACZ NOWĄ ODSŁONĘ akcji Siła Kobiety
– projektu artystyczno-społecznego, zwracającego uwagę na profilaktykę chorób nowotworowych.

Poznaj 12 silnych kobiet, zobacz wyjątkowe zdjęcia, dowiedz się, jak dbać o zdrowie.

TERMINY WYSTAW

TORUŃ – CAŁY PAŹDZIERNIK!
Urząd Marszałkowski
Województwa Kujawsko-Pomorskiego
w Toruniu

BYDGOSZCZ – 4-12 października
Focus Bydgoszcz

GRUDZIĄDZ – 13-19 października
Galeria Grudziądzka

INOWROCŁAW – CAŁY PAŹDZIERNIK!
Galeria Solna

TORUŃ – 1-9 października
Galeria Copernicus

WŁOCŁAWEK – 20-26 października
Wzorcownia Włocławek

SPRAWDŹ TAKŻE INTERNETOWĄ GALERIĘ NA STRONIE



nowosci.com.pl/silakobiety/re

ORGANIZATOR



WSPÓŁPRACA



PATRONAT HONOROWY



PARTNER STRATEGICZNY



PARTNERZY LOKALIZACYJNI



PARTNERZY



PARTNER MERYTORYCZNY



Harmonia bez granic - chór „Lutnia” i goście z Niemiec zapraszają na wspólny koncert

Szymon Spandowski
szymon.spandowski@polskappress.pl

W sobotę, 11 października o godz. 18 w Ratuszu Staromiejskim wystąpią razem chóry Stowarzyszenia Śpiewaczego „Eintracht” z Berlina i Towarzystwa Śpiewaczego „Lutnia” z Torunia.

W przypadku toruńskiego chóru „Lutnia” trudno mówić tylko o bogatych tradycjach, bo to nie są już tylko tradycje, ale coś więcej - dziedzictwo.



Chór „Lutnia” na Rynku Staromiejskim w Toruniu. Zdjęcie z lat 30. XX wieku

Niewiele jest w naszym regionie instytucji czy towarzystw, które mogłyby poszczycić się tak imponującymi korzeniami. Towarzystwo Śpiewacze „Lutnia” powstało w 1898 roku i działa do dziś!

Chór „Lutnia” wykonuje szeroki zakres muzyki, od dawnych mistrzów po współczesne utwory, zarówno o charakterze świeckim, jak i religijnym. Bywa obecny na najważniejszych wydarzeniach w mieście.

Poza tym jest pamiątką nieślusnie zapomnianego feno-

menu. Kiedyś na Pomorzu śpiewanie łączyło stany i pokolenia. Chórów było wiele, uświetniały one różnego rodzaju uroczystości, te podniosłe i nieco bardziej rozrywkowe. Śpiewaczki i śpiewacy konkurowali również o różne laury, podczas przeglądów, konkursów czy zjazdów angażujących niemal całą społeczność.

Jak widzimy na dołączonym obok zdjęciu, podczas jednego z przeglądów chórów pomorskich zorganizowanego w Toruniu w latach 30. ubiegłego

wieku śpiewacy wypełnili połowę Rynku Staromiejskiego.

Wtedy łączyło ich przede wszystkim zamiłowanie do śpiewu i siła tradycji, jednak w czasach zaborów polskie chóry były takimi samymi bastionami polskości, jak polskie stowarzyszenia czy gazety. Nomen omen, „Lutnia” pod tym względem grała pierwsze skrzypce.

Podobną popularnością cieszyło się śpiewanie wśród Niemców. Oni również zakładali towarzystwa śpiewacze

i urządzali zjazdy, między innymi w Toruniu. Również były one zaangażowane politycznie.

Czasy się na szczęście zmieniły, dziś można się cieszyć „Harmonią bez granic”.

Pod takim właśnie szyldem w sobotę, 11 października w Sali Mieszczańskiej toruńskiego Ratusza Staromiejskiego wystąpią chórzyści „Lutni” oraz założonego w 1892 roku Stowarzyszenia Śpiewaczego „Eintracht” z Berlina. Początek ich wspólnego występu o godz. 18. Wstęp wolny. ©©

3. BIEG DLA JAJ

RODZINNE BIEGANIE W SZUSZNEJ SPRAWIE!

BIEG GŁÓWNY (18+) 5 km

BIEGI DLA DZIECI (6-12 LAT) 400 i 800 m

MARSZOBIEG (13+) 2,5 km

ZAPISZ SIĘ NA [NOWOSCI.COM.PL/BIEGDLAJAJ](https://nowosci.com.pl/biegdlaajaj)

9 XI 2025

BYDGOSZCZ

BCTW/Ogród Botaniczny w Myślecinku

ambasador akcji
BŁAŻEJ BRZEZIŃSKI
dwukrotny Mistrz Polski w maratonie

ORGANIZATOR Express BYDGOSKI GAZETA pomorska NOWOŚCI DZIENNIK TORUŃSKI	SPONSOR STRATEGICZNY Enea	PARTNER STRATEGICZNY 2025 ROKIEM LUDZI NAUKI Z KUJAWY I POMORZA Samorząd Województwa Kujawsko-Pomorskiego KUJAWY POMORZE Urząd Marszałkowski Województwa Kujawsko-Pomorskiego w Toruniu 2025 ROK DZIECI I MŁODZIEŻY	PARTNER BIURA ZAWODÓW zielone arkady PARTNER GŁÓWNY Asparagin®
PARTNERZY UMK CM GABINETY LEKARSKIE SNIADKICH 2 NOVA UNIBIKE Diagnostyka+ ZAREMBA AMS PERFECT SERVIS	PARTNERZY MERYTORYCZNI CENTRUM ONKOLOGII im. prof. F. Kuźniarskiego w Bydgoszczy NFZ	PATRONAT HONOROWY Marszałek Województwa Kujawsko-Pomorskiego Piotr Ciałbecki PATRONAT HONOROWY PRZEDSIĘBIORCY BYDGOSZCZY Rafała Bruskiego	PATRONAT MEDIALNY TVP 3 BYDGOSZCZ TVP info eska
WODA Bydgoszcz MIEJSKIE WODOCIĄGI I KANALIZACJA w Bydgoszczy PROJEKT WSPÓŁFINANSOWANY PRZEZ MIASTO BYDGOSZCZ Biedronka Bank Pocztowy MM NEUPACK SPORT LAB VauPe			

Kto spełnia warunki, by dostać rentę wdowią?

Małgorzata Stempinska
malgorzata.stempinska@polskapress.pl

Do końca września br. ZUS wydał 113,2 tys. decyzji odmownych w sprawie przyznania renty wdowiej. Najczęstszą przyczyną było pobieranie zbyt wysokiego własnego świadczenia.

Od stycznia można składać wnioski o tzw. rentę wdowią, czyli o połączenie wypłaty własnego świadczenia emerytalno-rentowego takiego jak: emerytura z rentą rodzinną po zmarłym małżonku. Należy jednak pamiętać, że oba świadczenia nie będą wypłacane w pełnej wysokości. Można otrzymać pełną rentę rodzinną po zmarłym małżonku oraz 15 proc. swojego świadczenia lub odwrotnie. Od 1 stycznia 2027 roku drugie świadczenie wypłacane będzie w wysokości 25 proc.

Całkowita kwota wszystkich świadczeń nie może jednak przekraczać trzykrotności minimalnej emerytury, czyli od 1 marca br. 5636,73 zł brutto.

- W przypadku, gdy suma świadczeń w biegu przekroczy trzykrotność najniższej emerytury, świadczenie zostanie po-

mnieszone o kwotę przekroczenia. Jeśli natomiast wysokość dotychczas pobieranego świadczenia przekracza trzykrotność najniższej emerytury, prawo do łączenia świadczeń z rentą rodzinną nie przysługuje - wyjaśnia Krystyna Michałek, regionalna rzeczniczka prasowa ZUS w województwie kujawsko-pomorskim.

Wnioskują głównie kobiety

Od stycznia br. do ZUS wpłynęło już ponad 1 mln 123 tys. wniosków o rentę wdowią. Zdecydowaną większość, bo aż 88 proc., złożyły kobiety. W naszym regionie liczba wniosków przekroczyła 63,7 tys.

Nie wszystkie osoby spełniają jednak warunki do przyznania świadczenia. Do końca września ZUS wydał 113,2 tys. decyzji odmownych. Oznacza to, że co dziesiąty wniosek został odrzucony.

Najczęstszą przyczyną była zbyt wysoka kwota pobieranego świadczenia - powyżej trzykrotności minimalnej emerytury, czyli 5636,73 zł brutto.

Pozostałe przyczyny odrzucenia wniosków o rentę wdowią to: nabycie prawa do renty



FOT. FREEPIK / ZDJĘCIA ILUSTRACYJNE

Aż 88 procent wniosków o rentę wdowią w całym kraju złożyły kobiety

rodzinnej wcześniej niż 5 lat przed osiągnięciem powszechnego wieku emerytalnego, brak prawa do renty rodzinnej lub własnego świadczenia, brak wspólności małżeńskiej do dnia śmierci współmałżonka, a także zawarcie nowego małżeństwa czy nieosią-

gnięcie wieku uprawniającego do emerytury.

Pomogą wypełnić wniosek

Osoby potrzebujące wsparcia w wypełnieniu wniosku, mogą liczyć na pomoc pracowników ZUS-u. Podczas wizyty w pla-

cówce pracownik zapyta m.in. o PESEL, datę śmierci współmałżonka, po którym przysługuje renta rodzinna, a także o wspólność małżeńską, czyli czy prowadzone było wspólne gospodarstwo domowe, czy małżonkowie wspólnie zamieszkiwali lub łączyły ich inne więzy.

Na wizytę w placówce ZUS należy zabrać dokument tożsamości, taki jak dowód osobisty lub paszport.

Można również skorzystać z e-Dowodu dostępnego w aplikacji „mObywatel”, który umożliwi pracownikowi Sali Obsługi Klientów potwierdzenie tożsamości.

- Należy również podać numer rachunku bankowego, na który ma być przekazywana renta wdowia. Niestety, wiele osób o tym zapomina. Jeśli dotychczas ZUS wypłacał świadczenie za pośrednictwem poczty, klient ma możliwość kontynuowania tego sposobu lub zmiany na wypłatę bezpośrednio na konto w banku - mówi Krystyna Michałek.

Co zrobić, gdy ZUS odmówi świadczenia?

Od decyzji przysługuje odwołanie, które należy wnieść pisemnie lub ustnie do protokołu, za pośrednictwem jednostki organizacyjnej ZUS-u, która wydała decyzję, do sądu okręgowego - sądu pracy i ubezpieczeń społecznych, w terminie miesiąca od dnia doręczenia decyzji. Postępowanie odwoławcze jest wolne od opłat. ©

Na budowie trasy S10: „Koniec drogi śmierci coraz bliżej”



FOT. URZĄD WOJEWÓDZKI W BYDGOSZCZY



FOT. URZĄD WOJEWÓDZKI W BYDGOSZCZY



FOT. URZĄD WOJEWÓDZKI W BYDGOSZCZY

Budowa drogi ekspresowej S10 pomiędzy Bydgoszczą a Toruniem nabiera tempa. Widać już pierwsze warstwy asfaltu, zwłaszcza na obwodnicy Brzozy

Jakub Stykowski
jakub.stykowski@polskapress.pl

Budowa drogi ekspresowej S10 pomiędzy Bydgoszczą a Toruniem nabiera tempa. Jak wynika z najnowszego raportu wojewody Kujawsko-Pomorskiego Michała Szybły, na trzech z czterech odcinków prowadzone są intensywne prace budowlane.

- Każdy miesiąc przybliża nas do zakończenia wieloletniego kosztu i końca nazywania

tej trasy „drogą śmierci” - podkreśla wojewoda.

Na odcinkach objętych robotami widać już pierwsze warstwy asfaltu, zwłaszcza na obwodnicy Brzozy i drodze technicznej prowadzącej do niej.

Coraz wyraźniej rysują się też konstrukcje wiaduktów, które zmieniają krajobraz. Jednocześnie prace są prowadzone pod ścisłym nadzorem środowiskowym - powstają bezpieczne korytarze dla zwierząt, a ingerencja w przyrodę ma być jak najmniejsza.

Czwarty odcinek z poślizgiem

Nieco wolniej posuwają się przygotowania do budowy czwartego odcinka. Opóźnienia wynikają z konieczności uzupełnienia dokumentacji potrzebnej do uzyskania decyzji ZRID.

Choć w tym przypadku istnieje ryzyko przesunięcia terminu zakończenia o kilka miesięcy, cała trasa ma być gotowa w 2027 roku.

Wojewoda Michał Szybel poinformował również o za-

kończeniu sporów prawnych dotyczących kwestii środowiskowych.

Naczelny Sąd Administracyjny ostatecznie odrzucił skargę kasacyjną w sprawie decyzji środowiskowej, co oznacza, że inwestycja może być realizowana bez przeszkód prawnych.

Wiadukt chroniący źródło

Michał Szybel uchylił także uchwałę Rady Gminy Solca Kujawskiego, która - jak ocenił -

mogła prowadzić do opóźnienia lub nawet zablokowania budowy.

- Kluczowe kwestie środowiskowe zostały rozstrzygnięte już na etapie decyzji środowiskowej. Zgodnie z przepisami, użytkiem ekologicznym jest samo bagno, a nie otaczające je drzewa. Ich wycinkę ograniczamy do niezbędnego minimum - zaznacza wojewoda.

Na jednym z odcinków powstaje specjalny wiadukt chroniący źródło, co wymaga częściowej przycinki drzew.

- To rozwiązanie konieczne dla ochrony przyrody - dodaje wojewoda Michał Szybel.

Budowa drogi ekspresowej S10 łączącej Toruń z Bydgoszczą ma kluczowe znaczenie dla całego regionu.

Po jej zakończeniu kierowcy zyskają bezpieczne i szybkie połączenie między dwoma największymi miastami Kujaw i Pomorza, a trasa ma nadzieję przestać być nazywana „drogą śmierci” ze względu na liczne wypadki, w tym śmiertelne. ©

TU ZAPREZENTUJESZ TORUŃ

Restauracja Pałac Widokowy – najbardziej stylowe miejsce w Toruniu

Restauracja Pałac Widokowy to według wielu najbardziej modny i wyjątkowy lokal w mieście. Pokochali ją torunianie, polubili turyści, docenili goście z regionu, z Polski i z zagranicy. Chętnie odwiedzają ją także uczestnicy szkoleń, konferencji i sympozjów.

Stała się modnym, a jednocześnie dostępnym miejscem dla każdego. Restauracja jest czynna przez cały rok, codziennie od 8 do 22, a w weekendy nawet do północy. Źródło tej popularności ma wspólny mianownik: to tutaj wykwintna kuchnia spotyka się z odpowiednim doбором wybornego wina, które zawsze wzbogaca doznania smakowe przy niezrównanym widoku na toruńską starówkę.

Widok jak z pocztówki

Panorama Torunia – uznana za jeden z siedmiu cudów Polski – to nie tylko symbol miasta, ale też jeden z największych atutów Restauracji Pałac Widokowy. Lokal mieści się w centrum Torunia, na lewym brzegu Wisły, pomiędzy mostami, w sercu obszaru Natura 2000, tuż przy popularnym punkcie widokowym. Z tego miejsca rozciąga się zapierający dech w piersiach widok na gotycką starówkę – zarówno za dnia, jak i nocą.

Dlatego przedsiębiorcy tak chętnie przyjeżdżają tu na spotkania biznesowe od samego rana. Wkrótce planowane jest także utworzenie ścieżki rowerowej wokół Kępy Bazarowej, co dodatkowo ułatwi wizytę osobom preferującym aktywny wypoczynek.

Tajemnica doskonałego smaku

Choć widoki, klimat i lokalizacja przyciągają gości, prawdziwym sercem Restauracji Pałacu Widokowego pozostaje kuchnia. Szef kuchni, Patryk Stanewicz, tworzy dania, które są prawdziwymi dziełami sztuki kulinarnej. Jego pasja i doświadczenie przekładają się na unikalne kompozycje smaków, które zachwycają zarówno znawców, jak i każdego, kto po prostu kocha dobre jedzenie. Dzięki 17-letniemu doświadczeniu zdobytemu w renomowanych restauracjach, Patryk Stanewicz potrafi mistrzowsko łączyć klasykę z nowoczesnością, tworząc dania pełne fantazji i smaku.



mi po Bao Bao z sosem hoisin. Każde danie to kulinarna podróż – pełna finezji, wyważonych aromatów i estetycznej elegancji.

Z szacunku do tradycji

Restauracja pielęgnuje dziedzictwo kulinarne Torunia. W ofercie znajdują się m.in. historyczne dania inspirowane lokalną kuchnią, takie jak:

- „Ostryga zapiekana na ruszcie z 1885 roku”,
- czy popisowe danie szefa kuchni: „Jelenina tak masz czynić z 1540 roku” – czyli comber z jelenia w nowoczesnej odsłonie.

Magia wspólnych chwil przy muzyce na żywo

Pałac Widokowy to nie tylko najlepsza restauracja w Toruniu – to miejsce, w którym celebrytuje się codzienne i wyjątkowe momenty. Idealne na spotkania z przyjaciółmi, rodzinne obiady, romantyczne kolacje czy uroczyste świętowanie sukcesów. Warto wspomnieć, że każdy dokonujący rezerwacji na urodzinowe spotkanie z przyjaciółmi otrzyma od menadżera restauracji prosecco. Słynne piątkowe „talerzyki i kieliszki” co tydzień przyciągają fanów wspólnego celebrowania wina i dzielenia się jedzeniem przy muzyce na żywo, jest to gratka nie tylko dla koneserów, ale dla każdego, kto jest ciekaw smaku wina, które otwiera się zwykle przy większych okazjach. To frajda dla przyjaciół, znajomych, słowem dla dobrego towarzystwa, by jeść wspólnie porcje i mieć możliwość skosztowania wielu specjałów, gdzie gra muzyka na żywo. Od porannej szybkiej kawy po melancholijną lampkę wina – każda chwila tutaj nabiera wyjątkowego znaczenia.

wymiar. Do dyspozycji oddajemy aż cztery niezależne sale konferencyjne. Toruń, idealny na spotkania biznesowe, prezentacje i zamknięte eventy. Każda z naszych sal konferencyjnych w Toruniu została zaprojektowana z myślą o komforcie uczestników – naturalne światło, profesjonalny sprzęt audiowizualny, klimatyzacja, wentylacja i elegancki wystrój to tylko część atutów tej przestrzeni.

Organizując konferencje w Toruniu w naszym pałacu, zyskujesz nie tylko estetykę wnętrza, ale również kompleksową obsługę: przerwy kawowe, słodkie bufety, live cooking oraz kolacje z degustacją win i prosecco z naszego minivana. Dzięki temu każde wydarzenie – od spotkania zarządu po kilkudniowe konferencje biznesowe w Toruniu – zyskuje niezrównany charakter. Planujesz konferencję w Toruniu i szukasz miejsca z niepowtarzalnym klimatem? Pałac Widokowy to m.in. eleganckie sale konferencyjne w Toruniu, idealna na spotkania

Subtelny relaks dostępny dla każdego

Wizyta w Restauracji Pałac Widokowy to subtelny relaks – piękne widoki, modne wnętrza, dopracowane detale i harmonijna przestrzeń sprawiają, że każdy czuje się tu jak na małych wakacjach. Jednocześnie to miejsce otwarte dla wszystkich, którzy cenią dobrą kuchnię i wysoką jakość. To idealna odskocznia od codzienności,



która może stać się Twoim nowym, ulubionym miejscem w Toruniu.

Idealne miejsce na wydarzenia

Pałac Widokowy to miejsce, w którym bankiety, sympozja, szkolenia i konferencje w Toruniu zyskują nowy

biznesowe, szkolenia i eventy firmowe. Położenie w sercu miasta, piękny widok na starówkę i kameralna atmosfera sprawiają, że organizowane tu konferencje zyskują prestiżowy wymiar i zapadają w pamięć uczestnikom.



Miejsce, gdzie spotyka się Toruń

Doskonała lokalizacja sprawia, że dotarcie do restauracji jest wyjątkowo łatwe – można tu dojechać samochodem, komunikacją miejską, rowerem, a nawet dojść pieszo z pobliskiego dworca PKP. Dla zmotoryzowanych przygotowano dwa bezpłatne parkiny na około 60 pojazdów.

Kuchnia pełna emocji

Dania serwowane w Restauracji Pałac Widokowy to harmonijne połączenie lokalnych tradycji, inspiracji ze świata oraz autorskiej kreatywności. W menu znajdziemy zarówno potrawy inspirowane Toruńskim Piernikowym Szlakiem Kulinarным, pyszne śniadania, jak i egzotyczne propozycje – od łabneh z pieczonymi pomidorka-

RESTAURACJA

Ul. Majdany 1, 87-100 Toruń

OTWARTA CODZIENNIE 8.00-22.00

PIĄTEK-SOBOTA DO 23.00



Katarzyna Czachowska

NIE ODMAWIAJ JESIENI

Zgadzać się ze mną, że jesienią człowiek składa się głównie z koca, herbaty i bardzo wielu wątpliwości? U mnie jesień to pierwsza pora nowego roku. Nie czuję sylwestra - wszystkie moje postanowienia ruszają we wrześniu. Wtedy mam ochotę uczyć się nowego języka, zaplanować wyjazdy albo z aplikacją rozpocząć wyzwanie - szpagat w 30 dni. I nadrabiam kino po niefilmowych wakacyjnych miesiącach. Macie swój ulubiony film? Ale taki nie oscarowy, trochę nieoczywisty? Podzielę się swoim.

Jestem w Poznaniu, nocuję między wykładami w budżetowym hostelu. Nie ma wi-fi, jest za to telewizor podwieszony w rogu pokoju. Włączam i oprócz „Telezakupów Mango Gdynia” leci coś z Jimem Carreym, tytuł „Yes Man” brzmi jak brat bliźniak „Myjni hiphopowej”. Nie mam dużych oczekiwań, jednak ten, kto w czasach „Beverly Hills Video” na Rubinkowie znalazł tam swoją miłość, wie, że nie tytuł, ale przypadek potrafi napisać najlepszy scenariusz. I się zaczyna. Bohater - samotny, wycofany, zatopiony

w swojej małej codzienności - zostaje zmuszony, by na każdą propozycję odpowiadać „tak”. Na początku brzmi to absurdalnie, ale z każdym kolejnym „tak” jego życie zmienia się nie do poznania. Nie może odmówić prośbom o pieniądze, który chwilę później prosi o podwiezienie na wzgórze z pięknym widokiem. Kończy mu się benzyna, więc idzie pieszo na stację, a tam poznaje motocyklistkę, z którą odbywa nocny rajd po mieście, a że nie może odmawiać, następnego dnia trafia na warsztaty biegania, potem na wystawę, a potem - w sam środek życia. Naiwne? Może. A może wcale nie. Skąd wiesz, co kryje się za propozycją, której nie przyjmiesz? Skąd wiesz, że to, czego się boisz lub omijasz, nie okaże się początkiem czegoś dobrego? CZASEM NIE TRZEBA PLANOWAĆ ANI WIEDZIEĆ, ZAUFAC OKOLICZNOŚCIOM, KTÓRE SIĘ POJAWIAJĄ I LUDZIOM, KTÓRZY ZOSTALI NAM POSTAWIENI NA DRODZE.



FOT. MARCIN KRUK

Jak często my sami pozwalamy, by coś nowego wdarło się do naszej codzienności?

Pewnie powiesz: doświadczenie, przekonania, rozsa- dek. A może to tylko jesienne wątpliwości? Bohater grany przez Jima Carreya mówi „tak” i nagle jego świat staje się większy, bardziej nieprzewidywalny,

trochę absurdalny, ale też - żywy. Patrząc na to z perspek- tywy - jak często my sami po- zwalamy, by coś nowego wdarło się do naszej codzien- ności i zburzyło pewien por- ządek? Nie wtedy, gdy wszystko mamy pod kontrolą, ale właśnie wtedy, gdy odwa- żymy się nie wiedzieć, co da- lej. Eckhart Tolle napisał kie- dyś: „Życie zawsze daje ci to doświadczenie, którego naj- bardziej potrzebujesz, by się rozwinąć”. Nie odrzucać spotkań, które wydaje się mało intere- sujące.

Nie odrzucać człowieka, który nie jest z naszej bajki. Nie odrzucać siebie, gdy je- steśmy zmęczeni, niepewni lub coś się nie udało. Czasem nie trzeba plano- wać ani wiedzieć, zaufać oko- licznościom, które się poja- wiają i ludziom, którzy zostali nam postawieni na drodze. Może właśnie oni są odpowie- dzia na pytania, których jesz- cze nie zdążyliśmy zadać. A życie, choć rzadko bywa przewidywalne, dziwnie czę- sto wie, dokąd nas prowadzi. Spróbuj. ©© Autorka uczestniczy w Kujawsko-Pomorskiej Radzie Kobiet i Toruńskiej Radzie Kobiet

TV TORUŃ

PIĄTEK, 10 PAŹDZIERNIKA

10.00 Aktualności Toruńskie 10.20 Pogoda
10.25 Radioteleskop - październik
10.30 Rozmowa dnia
10.45 „Nowości” na weekend
10.50 Serwis sportowy
10.55 „Nowości” na weekend
11.00 Zabytki techniki - stacja Toruń Kluczyki
11.20 Magazyn samorządowy (4)
11.40 Inauguracja roku akademickiego UMK
12.00 Powtórka 14.00 Oferty TV Toruń
16.00 Gopło z fascynującą historią i naturą
16.35 Ludzie nauki - Samuel von Sömmerring
17.00 Akcja sprzątania świata 2025
17.10 Magazyn samorządowy (4)
17.30 Trójkąt dydaktyczny w Bierzgowie
17.45 Aktualności Toruńskie 18.05 Pogoda
18.10 Radioteleskop - październik
18.15 Rozmowa dnia 18.30 Serwis sportowy
18.35 Magazyn Kujawsko-Pomorski
18.55 Potencjał gospodarczy regionu (15)
19.05 Z telewizyjnej szafy - październik
19.45 Trójkąt dydaktyczny w Bierzgowie
20.00 Aktualności Toruńskie 20.20 Pogoda
20.25 Radioteleskop - październik
20.30 Rozmowa dnia 20.45 Serwis sportowy
20.50 Magazyn Kujawsko-Pomorski
21.10 Potencjał gospodarczy regionu (15)
21.15 Inauguracja roku akademickiego UMK
21.30 Trójkąt dydaktyczny w Bierzgowie
21.45 Aktualności Toruńskie 22.05 Pogoda
22.10 Radioteleskop - październik
22.15 Rozmowa dnia 22.30 Serwis sportowy
22.35 Z telewizyjnej szafy - październik



Pielgrzymi Nadziei wyruszyli do Fatimy

Kierunek: Portugalia. 27 biega- czy stanęło na starcie charyta- tywnego wyzwania - sztafety „Run to Fatima - Pielgrzymi Na- dziei”. Wyruszyli z Grudziądza i mają do pokonania ponad 3,5 tys. kilometrów, aby dotrzeć do Sanktuarium Matki Bożej w Fatimie. W trasę wystartowali w po- niedziałek, 6 października,

z bazyliki w Grudziądzu, do Fa- timy dotrą 16 października. Więcej na ten temat w „Ma- gazynie Kujawsko-Pomorskim” - dziś w TV Toruń o godz. 18.35 i 20.50. Zapraszamy. Program TV Toruń dostępny jest w sieciach kablowych TVK Toruń, Multimedia Polska, Vectra Toruń oraz na stronie tvtorun.pl.

INFORMATOR

WAŻNE TELEFONY

Policja	997 lub 112
Straż Pożarna	998 lub 112
Pogotowie Ratunkowe	999 lub 112
Straż Miejska	986
Pogotowie Energetyczne	991
Pogotowie Wod.-Kan.	994

SZPITALE

Wojewódzki Szpital Zespolony im. L. Rydygiera w Toruniu:
Szpital Wielospecjalistyczny, ul. św. Józefa 53
- Szpitalny Oddział Ratunkowy, tel. 56 679 51 12;
- rejestracja punktu przyjęć planowanych, tel. 56 679 31 28;
- izba przyjęć położnicza, tel. 56 679 31 35;
- izba przyjęć zakaźna, tel. 56 679 55 47;
- izba przyjęć psychiatryczna, tel. 56 679 57 44;
Szpital Specjalistyczny dla Dzieci i Dorosłych, ul. Konstytucji 3 Maja 42
- izba przyjęć, tel. 56 679 45 85
- nocna i świąteczna opieka zdrowotna, rejestracja, tel. 56 679 40 40
Specjalistyczny Szpital Miejski im. M. Kopernika ul. Batorego 17, tel. 56 610 02 09
Specjalistyczny Szpital Matopat, ul. Storczykowska 8, tel. 56 659 48 00

POLICJA

Komenda Miejska Policji, ul. Grudziądzka 17, tel. tel. 47 754 28 11
Komisariat Toruń-Śródmieście, ul. PCK 2, tel. 47 754 24 52
Komisariat Toruń-Rubinkowo, ul. Dziewulskiego 1, tel. 47 754 25 71
Komisariat Toruń-Podgórz, ul. Poznańska 127, tel. 47 754 24 71

NA SCENIE

Teatr im. Wilama Horzycy, pl. Teatralny
piątek, 10 października
Antygoną w Nowym Jorku, godz. 11:00 (Scena na zapleczu)
Lekarz na telefon, godz. 18:00 i 20:00 (Foyer II piętra)
sobota, 11 października
Antygoną w Nowym Jorku, godz. 18:00 (Scena na zapleczu)
niedziela, 12 października
Antygoną w Nowym Jorku, godz. 18:00 (Scena na zapleczu)
Kujawsko-Pomorski Teatr Muzyczny, ul. Żeglarska
piątek, 10 października
Być jak Barbra S., godz. 19:00

sobota, 11 października
Być jak Barbra S., godz. 19:00
niedziela, 12 października
Być jak Barbra S., godz. 18:00

Teatr Baj Pomorski, ul. Piernikarska
piątek, 10 października
Literkowo, godz. 9:30 i 11:00
niedziela, 12 października
seed: Nibylandia - premiera, godz. 16:30

CKK Jordanki, al. Solidarności
piątek, 10 października
Kabaret Smile, Contra, godz. 19:00
sobota, 11 października
Orkiestra Księżniczek, Największe przeboje, trasa jubileuszowa (5-lecie), godz. 17:00
Orkiestra Księżniczek - część 1, godz. 20:30
niedziela, 12 października
Dobrze się kłamię, spektakl, godz. 15:30 i 18:30

CK Dwór Artusa, Rynek Staromiejski
piątek, 10 października
Sekrety zwierząt, warsztaty w Bibliotece Społecznej, godz. 17:30 (Dom Muz Podgórz)
sobota, 11 października
Akty Zgonu, spektakl impro, kolektyw Teraz, Nowe media - nowy świat, godz. 19:00 (Sala Malinowa)
niedziela, 12 października
Zwiedzanie Dworu Artusa, godz. 12:00
Best Film Soundtracks & Candle, godz. 19:00

S p r a w a n a j w y ż s z e j w a g i



PULS
#185

GRZYBOBRANIE. NARODOWY SPORT POLAKÓW

Z lasów każdego roku wynosimy 100 tysięcy ton podgrzybków, kozaków, borowików, kurek, maślaków. Zbieramy grzyby dla samych grzybów, dla zdrowia, dla kontaktu z naturą, czasami chcemy się po prostu wyciszyć i odstresować. Potem nasze zbiory smażymy, mrozimy, marynujemy, suszymy. I znowu ruszamy do lasu, by pielęgnować pasję zbieractwa

Dorota Kowalska

Coroku jest to samo. Zbliża się wrzesień, Jacek, pięćdziesięciolatek, zaczyna nerwowo przestępować z nogi na nogę. Zerkna na Facebooka, śledzi serwisy informacyjne, buszuje po sieci. Coś sprawdza.

- Zgadnij, co? - pyta Marta, żona.

- Pojęcia nie mam! - przyznaje.

- Sprawdza, czy już pokazały się grzyby - wybucha śmiechem.

Kiedy się pokażą, Jacek mógłby wygrać konkurs na najlepszego męża świata. Wyprzedza myśli Marty. Sprząta, robi zakupy, odbiera dzieci ze szkoły. Wszystko po to, aby w piątek wieczorem zapytać: „To może jutro rano skoczę na grzyby?”.

- Nie chodzi na spacer, nie chodzi do siłowni, nie uprawia sportu. Mówię mu przynajmniej raz w tygodniu, że musi zrzucić trochę brzucha. „Tak, tak” - obiecuje i na tym się kończy. Pokażą się grzyby, biega pięć godzin po lesie, a potem przyjeżdża do domu i pęka z dumy. „Zrobiłem 14 tysięcy kroków” - woła od progu, że niby tak dba o kondycję - opowiada Marta.

I przyznaje, że roboty przy grzybach nie ma. Jacek sam wszystko obiera, część grzybów suszy, czasem marynuje, częściej mrozi, czasami zanoszą sąsiadom.

Ale w tym roku Jacek jest jakiś nieswój. Nie wie, co robić. Zaczęła już sprzątać, czy jeszcze czekać? Raz piszą, że w lasach pusto, innym razem, że zaczęły się prawdziwe grzybowe wysyp.

Zostaje telefon do eksperta. To są grzyby czy ich nie ma?

- To zależy, gdzie - odpowiada Janusz Piechociński, były wiceprezes Rady Ministrów, minister gospodarki, były prezes PSL i zapalony grzybiarz.

Tam, gdzie była susza grzybów nie ma, tam gdzie lało - są. Ale bywają takie regiony w Polsce, choćby pod Warszawą, gdzie

grzybni najzwyczajniej w świecie zdążyła się zakonserwować. Mało padało w tym roku, mało w zeszłym, mało dwa lata temu. I teraz nawet jeśli spadnie na nią deszcz, trzeba czasu, żeby się odrodziła.

- Poziom wód gruntowych jest bardzo niski. Poza tym, dzisiaj deszcze są intensywne, ale krótkotrwałe, a to grzybni nie służy - tłumaczy ekspert Piechociński.

I dodaje, że w tym roku grzyby pokazały się miesiąc temu. Wtedy były rekordowe zbiory, oczywiście nie wszędzie. Ale on pod Starym Sączem zbierał kosze borowików i dostrzegł, że zaczynają pojawiać się prawdziwki. Dwa tygodnie temu pod Tarczynem zebrał ich 17,5 kilograma. Ale przyszły przymrozki i w sobotę spod Wyżkowa przywiózł ledwie koszycek grzybów.

Dla podtrzymania tradycji

Janusz Piechociński pasję zbieractwa oddziedziczył po mamie. Ta, jak mówi, zbierała grzyby z sukcesami. Sąsiedzi biegli do Puszczy Kozienickiej, w okolicy której mieszkali, z samego rana. Ona po szkole, potem po pracy spokojnie brała koszyk w rękę i ruszała w las. Wracając, uśmiechała się już od praga.

- I tak to się u mnie zaczęło. Nie mam czasu jeździć gdzieś daleko, więc zbieram grzyby w okolicach Celestynowa czy Piaseczna - opowiada Piechociński. Chodzi w tak zwane swoje miejsce, rano, w sportowym dresie. Wchodzi w kępy brzoźek, w zarośla i szuka. Kiedyś po takiej porannej wyprawie spotkała go jakaś kobieta. „Ale ja pana widziałam wczoraj rano, latał pan jak wariat z wiaderkiem między drzewami” - zagadała ze śmiechem.

Najważniejsze, żeby wiedzieć, gdzie latać. Grzyby rosną



Blisko połowa zbieraczy traktuje grzybobranie jako sposób na wyciszenie i odpoczynek psychiczny, a 32 procent podtrzymuje w ten sposób rodzinną tradycję

w określonych miejscach, dlatego w nowy las trzeba zawsze wejść z jakimś tubylcem. Taki wie, gdzie szukać grzybów. On nie lubi zbiorowych grzybobrań, tych krzyków: „Mam! Znalazłam! Ale piękny!”. Ale czasami zdarza mu się pójść w zarośla z przyjaciółmi czy znajomymi. Bywa, że celowo omija jakiegoś grzyba, żeby potem usłyszeć: „Piechociński nie zauważył, a ja znalazłem!”.

Rekord grzybobrania to było 86 kilogramów surowego prawdziwka zebranego pod Bielskiem Podlaskim. Nic nie zapowiadało takiego sukcesu. Była susza, chociaż kilka dni wcześniej przeszły nad tym terenem burze. Wziął 20-litrowe wiaderko i poszedł w las. W starym, sosnowym, niewiele znalazł, więc może przy torfowisku? Kilka szarych kozłarzy. Dalej był zagajnik sosnowo-brzozowy. A tam same prawdziwki. Wracał w to miejsce

z cztery razy. Miał tyle grzybów, że pakował do wiaderka same kapelusze, bo szkoda było miejsca na nożki.

Dzisiaj grzyby rozdaje - surowe, świeżo zebrane. Kiedyś robił znajomym prezenty w postaci słoiczek z grzybami marynowanymi, ale, jak przyznaje, żona się zbuntowała. „Moje ręce, moje paznokcie, moje słoiki, mój czas i moja cierpliwość. Basta!”. Musiał jej wcześniej grzyby obrać, przygotować, ale i tak miała dość. Dziś obdarowywani sami muszą grzyby obrabiać.

- Najbardziej lubię pierogi z kapustą i grzybami, rydze z patelni, które zawsze przyrządzam z przyjacielem. Lubię zbierać grzyby, ale mówiąc szczerze, wielkim fanem grzybowych dań nie jestem - przyznaje wiceminister.

Mimo tego, chodzi i zbiera. A czasami człowiek przemierza wiele kilometrów, umorduje się

i nic, nawet małego maślaka, o prawdziwku nie mówiąc.

- Czemu ludzi ciągnie do lasu? Co takiego jest w tym zbieraniu grzybów? - dopytuje.

- A dlaczego mój szwagier potrafi przesiedzieć nad Wisłą 16 godzin, wrócić do domu przemarznięty i opowiadać, że miał cztery brania? - wzrusza ramionami Piechociński. - Pasa i tyle - dodaje.

Chociaż przyznaje, że zbieranie grzybów to jedyna czynność, przy której tak się koncentruje, tak skupia na szukaniu, że nie myśli o niczym innym. Kiedy był ministrem, biegł do lasu przed godziną piątą, bo przed godz. 7.00 czekała już na niego ochrona.

- Najgorsze chwile przeżywałem wtedy, kiedy wiedziałem, że są grzyby, a byłem służbowo w jakiejś innej części Polski. Miałem wtedy świadomość, że mój rywal w zbieraniu, pewien eme-

ryt, wybiera mi wszystkie grzyby - śmieje się były minister gospodarki. W tym roku też biega po zagajnikach. Szuka.

Dla grzybów i kontaktu z naturą

Mówi się, że chodzenie na grzyby to sport narodowy Polaków. Ale też, według Lasów Państwowych, co roku grzybiarze zbierają łącznie około 100 tys. ton grzybów. W ostatnim czasie portal Rankomat.pl przeprowadził badanie, które pokazało, że 38 proc. z nas nie chodzi po lasach w poszukiwaniu prawdziwków, borowików czy maślaków - 62 proc. Polaków deklaruje, że zbiera grzyby.

Ci, którzy wybierają się na grzybobranie, robią to przede wszystkim dla samych grzybów - tak odpowiedziało 68 proc. ankietowanych. Dla wielu jest to także okazja do kontaktu z naturą (64 proc.) i spędzenia czasu na świeżym powietrzu (54 proc.). Blisko połowa zbieraczy traktuje grzybobranie jako sposób na wyciszenie i odpoczynek psychiczny, a 32 proc. podtrzymuje w ten sposób rodzinną tradycję. Tylko 5 proc. osób przyznaje, że grzybobranie jest dla nich źródłem zarobku.

Ci, którzy grzybów nie zbierają, boją się zjedzenia trujących okazów - taki powód niechodzenia do lasu podało 37 proc. osób; 21 proc. przyznało wprost, że boi się zatrucia, a 25 proc. nie cierpi papająków i kleszczy.

Jeszcze inni boją się zgubienia w lesie, spotkania dzikich zwierząt, postrzelenia przez myśliwych. 3 proc. ankietowanych nie chce pobrudzić lub zniszczyć ubrania.

Z kolei w badaniu agencji SW Research dla „Wprost” 21,2 proc. osób stwierdziło, że często zbiera w sezonie grzyby, 50,2 proc. zbiera je czasami, a 28,6 respondentów twierdzi, że za grzybami po lasach nie biega.

Może nie wszyscy o tym wiedzą, ale nie wszędzie grzyby są tak dostępne, jak w Polsce. W wielu krajach obowiązują ograniczenia w ich zbieraniu. Zbiór wymaga płatnej licencji, bez której grożą surowe kary finansowe.

I tu Polacy stanęli murem za grzybiarzami, bo opinie na temat tego typu przepisów są podobne – niezależnie od tego, czy ktoś grzyby zbiera, czy nie. Uczestnicy badania przeprowadzonego przez Ogólnopolski Panel Badawczy Ariadna dla Wirtualnej Polski w zdecydowanej większości (84 proc. badanych) są przeciwni wprowadzeniu ograniczeń wagowych zbierania grzybów na własny użytek. W tym ponad połowa respondentów (54 proc.) jest „zdecydowanie” pewna, że nie wolno ograniczać polskich grzybiarzy, a 30 proc. uznaje, że „raczej” nie powinno się określać granicy wagowej zbiorów.

Tylko 9 proc. respondentów uznaje, że konieczne są regulacje w tej kwestii. 7 proc. badanych nie ma zdania na ten temat.

Dla bigosu i bitek

Wojciech Kowalczyk to były świetny piłkarz, reprezentant Polski, srebrny medalista olimpijski z Barcelony, a dzisiaj, po zakończeniu sportowej kariery, ekspert piłkarski.

– Byłem świetnym piłkarzem, teraz jestem świetnym grzybiarzem – śmieje się na początku naszej rozmowy.

Właśnie, bo Kowalczyk słynie w sportowym środowisku z zamiłowania do zbierania grzybów. On też, jak Janusz Piechociński, po lasach biegał od dzieciaka. – Mój wuj był sołtysiem w małej wiosce Koziołek koło Warki. W czasie wakacji jeździliśmy tam całą rodziną i razem z dziadkiem czy tatą chodziliśmy po lasach – wspomina.

Wuj, sołtys, miał wszystko: truskawki, ogórki, owoce, ale oni szukali grzybów.

– Nauczyłem się wtedy dwóch rzeczy: spać w stodole na sianie i zbierać grzyby. W stodole na sianie spało się dlatego, żeby rano, wychodząc do lasu, nie zbudzić domowników – tłumaczy Kowalczyk.

W tym roku był już kilka razy na grzybach, trochę nazbierał, ale szału nie ma. Nie było deszczu, sucho. Jak każdy grzybiarz ma swoje ulubione miejsca.

– W lipcu i sierpniu grzybów nie zbieram, są najczęściej robaczywe. Dla mnie sezon zaczyna się we wrześniu – mówi.

Najczęściej jeździ w okolice Przasnysza i Szczytna, bo ponoć nigdzie nie ma takich lasów. Tam zbiera pierwsze, najlepsze grzyby, głównie prawdziwki. Ale są też Warka, Wilga, Grabów nad Pilicą.

Jego rekord? W Wielbarku, jakieś 15 lat temu, zebrał dwa kosze czerwonych kozaków. Żadnego innego grzyba – same czerwone kozaki.



Prawdziwek, czyli borowik szlachetny, to najbardziej pożądany grzyb w polskich lasach. Ale są też miłośnicy rydzów, kurek czy maślaków

Wyjeżdża na grzyby bardzo wcześniej, właściwie wchodzi do lasu, kiedy świta. Śmieje się z kolegami, że muszą uprzedzić miejscowych kolarzy.

– A kto to taki? – dopytuje.

– Miejscowi, którzy jeżdżą na rowerach i zbierają przy drodze najlepsze okazy – tłumaczy. – Więć wjeżdżam wcześniej, bo raz, że nie ma wtedy korków, a dwa, włącza mi się duch rywalizacji – dodaje.

Ale przed wejściem do lasu zawsze zapali papierosa, zje kanapkę, napije się ciepłej herbaty czy kawy z termosu i dopiero wtedy rusza w zarośla.

– Czemu Polacy tak lubią zbierać grzyby? – pytam.

– Myślę, że z wielu powodów, ale nie bez znaczenia jest tu polska kuchnia, w niej bez suszonych grzybów ani rusz – tak odpowiada. W każdym razie on nie wyobraża sobie bigosu czy wołowych bitek bez grzybków.

Jest fanem tych suszonych, ale niektóre marynuje, część przegotowuje i mrozi. Stoiczki z marynowanymi kapeluszami rozdaje sąsiadom.

– Dla mnie najważniejsze jest chyba samo chodzenie po lesie, kontakt z naturą. Grzyby to taki dodatkowy bonus – mówi.

Dla zdrowia i wyciszenia

Lekarze i psychologowie są zgodni: ruszać do lasu! Zbieranie grzybów dobrze wpływa na nas i nasze samopoczucie. Spacerowanie po lesie, schylanie się po grzyby wzmacnia nasz układ krążenia. Kontakt z naturą, zapach lasu uspokaja, obniża ciśnienie krwi i poziom stresu.

– Żyjemy w rzeczywistości, w której panuje szum informacyjny, jesteśmy przebudzowani, a grzybobranie to taka

ucieczka od codzienności, forma odreagowania. Znacznie lepsza niż butelka wina wypita wieczorem – mówiła mi swego czasu psycholog Maria Rotkiel.

Poza tym, w każdym z nas siedzi gdzieś głęboko atawistyczny instynkt zbieracza. Ludzie zawsze zbierali jedzenie, bo to daje im poczucie bezpieczeństwa. Kiedy zbieramy grzyby ze znajomymi, czasami licytujemy się, więc jest w tym wszystkim także element rywalizacji, ale to nie on dominuje.

– Myślę, że zbieranie grzybów jest dzisiaj tak modne, bo jest formą wyciszenia, podczas którego na dodatek obcujemy z naturą. Sama uwielbiam chodzić na grzyby – przyznała Rotkiel.

Tym bardziej że grzyby po prostu są. Występują we wszystkich strefach klimatycznych, przede wszystkim na łąkach, ale także w wodach – i tych słodkich, i tych słonych. Do tej pory opisano około 70 tysięcy gatunków grzybów, ale ta liczba może być większa. Jak można wyczytać w Wikipedii, pierwszy grzybami zainteresował się Teofrast – grecki uczony, filozof, uczeń i przyjaciel Arystotelesa, który zaliczył je do roślin pozbawionych korzeni. Nie potrafił więc określić sposobu, w jaki się żywią. W epoce rzymskiej badania nad grzybami nie posunęły się naprzód. Rzymianie szczególnie znaczenie przypisywali trufiom. Wierzyli, że te powstają od uderzeń błyskawic, które przekazują im moc niezbędną do kreacji życia – stąd trufle były stosowane jako środek wspomagający zajście w ciążę. Kult grzybów powszechny był wśród Majów i Azteków, z kolei w Indiach grzyby uważano za symbol płodności. Po raz pierwszy

zarodniki grzybów zaobserwował w 1588 roku włoski uczony, wynalazca, lekarz i literat Giambattista della Porta, ale przez kolejne dwieście lat wciąż dominował pogląd o spontanicznym powstawaniu grzybów. W XVII, XVIII i XIX wieku zainteresowanie grzybami rosło – wielu badaczy systematycznie opisywało kolejne odkryte ich gatunki, często zresztą jeden gatunek pojawiał się kilkakrotnie pod różnymi nazwami. Dopiero Pier Andrea Saccardo, włoski mykolog i botanik, dokonał klasyfikacji grzybów, porządkując wszystko to, o czym donosili jego poprzednicy.

Wspomniany już wyżej Janusz Piechociński napisał na Twitterze: „W polskich lasach występuje 1,4 tys. gatunków grzybów jadalnych, choć tylko 47 z nich jest dopuszczonych do obrotu produkcji przetworów grzybnych. Przeciętny Polak rozpoznaje 15 gatunków grzybów, a wytrawny grzybiarz około 40 gatunków”.

Dla bycia razem

Anna Wyszykowska mówi, że rozpoznaje z 20 gatunków, ale od dziecka jeździła z rodzicami na grzybobrania. Przychodziło późne lato, jesień – w sobotę pakowali się w czworkę do starego, wysłużonego „malucha” (oprócz rodziców jeszcze brat) i jechali do lasu.

– To był swego rodzaju rytuał. Jeździliśmy w jurę krakowsko-częstochowską. Tata miał tam swoje ulubione miejsca, zawsze pełne grzybów. Wyruszaliśmy bladym świtem, wracaliśmy na obiad, który mama zawsze przygotowywała dzień wcześniej – opowiada Anna, dzisiaj bizneswomen.

Pamięta, że w lesie mieli trzymać się rodziców, chociaż zdarzało im się zgubić; na szczęście całą czwórką, tata zawsze jednak znajdował wtedy drogę powrotną. Nauczył ją, że trzeba szukać słupów z liniami wysokiego napięcia, bo one doprowadzą człowieka do drogi albo jakiejś miejscowości.

– To były wspaniałe wyprawy. Lubiliśmy je z bratem. Poznaliśmy grzyby, zresztą te zebrane przez nas zawsze przeglądali rodzice. Podczas tych wypraw sporo rozmawialiśmy ze sobą. Tata opowiadał nam o drzewach, przyrodzie, to były niesamowite lekcje biologii – wspomina Anna. Pamięta radość z każdego znalezionego grzyba, te kapelusze wystające z mchu, śpiew ptaków. I powroty do domu. Byli zmęczeni, ale szczęśliwi. Mama obierała potem te grzyby godzinami. Część suszyła, ale robiła też słoiki. Nos wykrecało, bo po całym domu niósł się wtedy zapach octu, którego do dziś nienawidzi.

– Na studiach jakoś przeszła mi pasja zbierania grzybów, ale kiedy założyłam własną rodzinę, z przyjemnością do starych nawyków wróciłam. Na szczęście mąż też uwielbia wycieczki po lesie – śmieje się. Jeżdżą na grzyby od września, w każdy weekend, jeśli nie wyskoczy coś nieprzewidzianego. Uwielbiają to. Postanowiła połączyć rodzinne grzybobrania z piknikami. Zawsze bierze do samochodu jakieś smakołyki, koc, zawsze robią sobie w lesie dłuższą przerwę, żeby posiedzieć i pogadać.

– Niezwykle dużo dają mi te nasze grzybowe wyprawy. Bardzo ciężko z mężem pracujemy, dzieci oprócz szkoły mają sporo

dodatkowych zajęć. A to jest czas, który spędzamy razem. Poza tym, wyłączam wtedy głowę. Nie myślę o papierach, kontrahentach, o problemach, po prostu wypatruję prawdziwków, podgrzybków, maślaków – wylicza. No i jest wśród natury, gdyż ogródek przed domem to zdecydowanie nie to samo.

Dla bezpieczeństwa

Fachowcy radzą jednak, aby nie popadać w amok grzybobrania.

– Jeżeli nie znamy grzybów, to ich nie zbieramy, bo tak jest dla nas bezpieczniejsze, ponieważ grzyby jadalne mają swoje odpowiedniki, które są trujące. W związku z tym lepiej nie popełnić błędu i zbierać te, których jesteśmy pewni – mówił w rozmowie z TVN24 Paweł Bukowski z Nadleśnictwa Kolbudy w województwie pomorskim.

W razie wątpliwości można udać się do Wojewódzkiej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej. – Można skorzystać jeszcze z różnych pomocy naukowych czy też z aplikacji, atlasów grzybowych czy też z wydań papierowych atlasów, a być może z porady osób starszych, które już dłużej są na grzybach i mają większą wiedzę od nas. A jeśli rzeczywiście chcemy poznać nowego grzyba, nic nie stoi na przeszkodzie, żeby go dostarczyć do stacji sanitarno-epidemiologicznej, podpytać fachowców. Tam nam powiedzą więcej – tłumaczył leśnik.

Początkujący grzybiarze powinni raczej zbierać grzyby rurkowe niż blaszkowe. Jeśli jednak po ich spożyciu poczujemy się źle – będziemy mieli nudności, wymioty, gorączkę – trzeba niezwłocznie zgłosić się do lekarza.

Kolejna sprawa: rozeznanie terenu. Przed samym rozpoczęciem zbierania grzybów zorientujemy się, w jakim miejscu jesteśmy, skąd przyszliśmy. Obserwujemy Słońce, jeśli jest widoczne, i teren, po którym się poruszamy. W lesie są linie oddziałowe, drogi, kamienie graniczne czy słupy energetyczne, często ponumerowane. One mogą posłużyć za punkty odniesienia.

I wreszcie – zabezpieczmy się przed kleszczami.

Jacek w końcu wypełnił lodówkę, wyszorował podłogi i w sobotę pojechał na grzyby. Ruszył pod Siedlce. Zna te lasy. W niedzielę chwycił koszyk i pognął do zagajnika za domem. Zbiór może nie powalał z nóg, ale zrobił przepyszny sos z maślaków i dwa słoiczki marynowanych podgrzybków.

– Niech jeździ! – pacha ręką Marta. I wylicza plusy: trochę pochodził po lesie, był na świeżym powietrzu, odstresował się, wyciszył, a te kilka tysięcy kroków też mu wyjdzie na zdrowie. I będzie miał o czym gadać z kolegami, bo wszyscy to zapaleni grzybiarze.

FOT. MARIUSZ KAPALA

Nie będzie łatwo. Jest duży opór gmin turystycznych przed zmianami - mówi Iwona Hartwich (KO), posłanka z Torunia. Taką refleksję ma po pierwszych kontaktach z władzami samorządowymi gmin, do których pod koniec sierpnia wystosowała list otwarty. Otwarte w pewnym stopniu są te władze, które zaprosiły na rozmowy. Oporu można się spodziewać tam, gdzie jest brak reakcji albo pojawia się odpowiedź: „nie da się tak od razu”.

Hartwich w swoim liście adresowanym do wszystkich gmin turystycznych w Polsce zaapelowała o trzy podstawowe sprawy. Po pierwsze, o zapewnienie w każdej miejscowości nadmorskiej i w każdym dużym kurorcie turystycznym co najmniej jednego w pełni dostępnego wejścia do wody osobie poruszającej się na wózku inwalidzkim.

Po drugie, o uwzględnienie potrzeb osób z niepełnosprawnościami w planach zagospodarowania przestrzennego i inwestycjach turystycznych. Trzecim postulatem natomiast jest wykorzystanie opłat klimatycznych oraz funduszy unijnych na likwidację barier architektonicznych w miejscach wypoczynku.

- Zapewnienie dostępu do plaży czy kąpieliska osobom z niepełnosprawnościami nie jest łaską. To obowiązek wobec obywateli - podsumowała posłanka z Torunia. I po apelu ruszyła do pracy - na spotkania z poszczególnymi samorządami. Była już w kilku miejscach nad morzem, planuje kolejne spotkania.

Nie byłoby apelu posłanki i rozpoczętej kampanii, gdyby nie liczne sygnały, które dostawała przez całe wakacje. Zresztą, kolejne już takie. Sama jest matką niepełnosprawnego Jakuba, poruszającego się na wózku. Od lat walczy o poprawę sytuacji osób z niepełnosprawnościami i ich opiekunów.

A tymczasem niepełnosprawni i ich opiekunowie ślą kolejne zgłoszenia i skargi. Wyłania się z nich obraz kraju, w którym traktowani są jak obywatele drugiej kategorii. „Może dlatego, że za mało się na nas zarabia” - konstatują smutno niektórzy.

„Jestem w sanatorium w Kołobrzegu. Spacer nad morzem niemożliwy”

Wrzesień. „Jestem w sanatorium w Kołobrzegu. Niestety, spacer nad samym morzem niemożliwy. Nie ma jak wózkiem zjechać” - daje znać posłance Aneta.

W mediach społecznościowych reakcja natychmiastowa.

O GODNOŚĆ NA WAKACJACH. NIEPEŁNOSPRAWNI JAK TURYSŤI DRUGIEJ KATEGORII

Brak zjazdu nad morze czy jezioro, niedostępne toalety, nieczynne windy i podnośniki, za wysokie krawężniki - to tylko początek długiej listy barier. Osoby niepełnosprawne wciąż są w Polsce turystami drugiej kategorii. Czy kampania podjęta przez posłankę Iwonę Hartwich to zmieni? Czy następne wakacje będą lepsze?

Małgorzata Oberlan



Czas skończyć z barierami na polskich plażach!

FOT. FACEBOOK/IWONA HARTWICH

Posłanka Iwona Hartwich z Torunia (KO), mama niepełnosprawnego Jakuba i aktywna działaczka na rzecz poprawy sytuacji osób niepełnosprawnych i ich opiekunów wystosowała list otwarty do władz wszystkich gmin turystycznych w Polsce. Podjęła walkę o dostępność infrastruktury dla niepełnosprawnych - zaczęła cykl spotkań

„Byłam, potwierdzam” - pisze Romana. „To prawda” - pisze Darek. „Dobrze, że ktoś się za to wziął. Niedostosowane bywają nawet te ośrodki, które teoretycznie mają podpisane umowy z PFRON-em i biorą grubą kasę za turnus. A tymczasem nie mają dostosowań, a rehabilitacja w nich nie spełnia żadnych norm. To są wyjazdy wakacyjne za kasę PFRON-u. Wszyscy o tym wiedzą, a nikt głośno nie mówi” - dorzuca Agata.

Lipiec i sierpień. „Ja z synem (niepełnosprawnym) byłam w Dźwirzynie. Tam również nie ma zejścia dla niepełnosprawnych. Owszem, jest takiego tylko kawałek. Ale co dalej? Byłam w tej sprawie w miejscowym urzędzie. Pani sobie zapisała ten problem i kazała mi jeszcze pisać do Kołobrzegu, bo oni tam podlegają” - relacjonuje pani Ewa.

- Świnoujście, Międzyzdroje, Mrzeżyno, Dźwirzyno, Kołobrzeg, Stegna, Jantar, Kąty Rybackie, Sztutowo, Sopot, Gdynia... Z tych nadmorskich miejscowości tylko Gdynia ma plażę naprawdę dostosowaną dla potrzeb osób z niepełnosprawnościami: z kompleksem zjazdów aż do samego morza, toaletami i przebieralniami przy samej plaży. Pozostałe miejscowości, nawet jeśli coś mają, to są to pseudozjazdy o długości 2-3 metrów. W najlepszym razie jak w Świnoujściu jest kilka zjazdów, nawet z platformami, ale do połowy plaży. Największym rozczarowaniem był dla mnie Kołobrzeg, który mieni się największym uzdrowiskiem w Polsce. Jest wprost naszpikowany barierami” - to opinia innej matki osoby niepełnosprawnej.

„Jest to ogromny problem nad polskim morzem. Przykła-



Iwona Hartwich z synem

FOT. FACEBOOK/IWONA HARTWICH

dem jest Rewal. W kwietniu 2025 roku oddano tam nowe, wygodne zejście z 57 schodami. Ale niedostępne dla osób niepełnosprawnych” - opisuje pani Anna.

Nie chodzi tylko o morze. I nie tylko o osoby na wózkach...

W przywoływanym Trójmieście nie tylko dostęp do morza jest problemem. Wykluczeni w tym turystycznym mieście czują się ludzie z różnymi typami niepełnosprawności i w różnych jego rejonach.

„W przypadku Trójmiasta jest jeszcze jeden aspekt dostępności dla niepełnosprawnych: perony SKM. Mam niewidzącą, dorosłą córkę i całe szczęście, że mój mąż ma jeszcze siłę wziąć ją pod ramiona i przesadzić przez tę przepaść, która ziele między wagonem a peronem - doświadczyliśmy tego w Sopocie i Gdyni. W nowych pociągach też nie ma lekko - wyjście jest o jakieś 20-30 cm niżej niż peron i do tego ta przerwa między stopniem a krawędzią peronu. Być może mieszkańcy Trójmiasta już się z tym pogodzili, ale dla przy-

jezdnych to szok. Jak radzą sobie seniorzy czy osoby z ograniczeniem ruchowym? Nie mam pojęcia” - opisuje matka z Kujawsko-Pomorskiego.

A przecież wakacje to nie tylko morze, ale i jeziora, uzdrowiska, góry, turystyka miejska. I tutaj lista barier i najzwyczajszych upokorzeń jest długa. Po cząwszy od banalnych dla kogoś zdrowego spraw typu dostęp do WC.

„Mój mąż ma urostomię. Pojechaliśmy do Torunia pociągiem i wysiedliśmy na dworcu Toruń Miasto. Tak nam radzono, bo najbliższe starówki. Jest w remoncie. Toalety przyzwyczajony brak, tylko jakaś budka. Chcieliśmy dojść do starówki, ale mąż nie wytrzymał. Woreczek opróżniał w krzakach” - wspomina letnią wycieczkę Beata.

Jakie będą kolejne wakacje? „Są deklaracje”

Historie, relacje, sygnały można by mnożyć. Niedostępność turystyczna w Polsce to skutek długich lat zaniedbań. Niestety, także ostatnich, kiedy to wiele gmin korzystało z unijnych dotacji na rozwój swojej bazy, atrakcji etc. Już na etapie projektowania nowych inwestycji czy modernizacji starych „zapominano” o realnym ich dostosowaniu do potrzeb osób z niepełnosprawnościami. Realnych, bo jakieś podstawowe wymogi jednak się spełnia.

Pierwsze z cyklu spotkań z samorządami gmin turystycznych posłanka Iwona Hartwich odbyła z przedstawicielami Gdańska i Sopotu. Nie była na nim sama. Towarzyszyła jej posłanka Henryka Krzywonos oraz dwie matki niepełnosprawnych dzieci: Marzena Staniewicz i Maja Iwińska. Jakże refleksje na gorąco?

- Cóż, w Sopocie mamy kładkę do morza jedyną taką całej Polsce. Pod względem dostępności dla osób z niepełnosprawności i komfortu może być wzorem dla każdej miejscowości. I tyle. Ze strony Gdańska plan jest taki, aby powstała chociaż jedna tego typu także u nich. Będzie kolejne spotkanie w tej sprawie, po sprawdzeniu możliwości. Pani prezydent Gdańska ma być ze mną w kontaktach - przekazuje posłanka.

Generalnie, oporne na zmiany gminy turystyczne czy uzdrowiskowe lubią mówić: postulaty słuszne, ale skąd wziąć na to pieniądze? Tutaj odpowiedź posłanki jest jednak natychmiastowa. Po pierwsze, niektóre rozwiązania są proste i niedrogie. Po drugie, gminy pobierają opłaty klimatyczne. Po trzecie zaś - są beneficjentami dotacji z Brukseli także na rozwój turystyki.

- I przynajmniej część tych środków powinna być przeznaczana na likwidację barier - podkreśla konsekwentnie Iwona Hartwich. ©

NIE WCHODZĘ W ROLĘ INKWIZYTORA

O „niemym wole”, sztucznej inteligencji i diabłach na główce szpilki w rozmowie z ks. prof. Piotrem Roszakiem, teologiem z UMK, który jest w czołówce cytowanych naukowców na świecie

Adam Willma

Jesteśmy na świeckiej uczelni. Za oknem gmach Seminarium Duchownego, ale to akurat tutaj znajduje się najlepszy wydział teologii w Polsce. Prześcignęliście zarówno KUL, jak i Uniwersytet Papieski. Co za siły nieczyste odwróciły porządk? Mam nadzieję, że żadne [śmiech]. To efekt długiej pracy i jasnego planu. Jeszcze za kierownictwa pierwszego dziekana ks. prof. Jerzego Bagrowicza układ z władzami uczelni był jasny: obowiązki jak wszystkie pozostałe wydziały bez specjalnego traktowania. Do tego badania, które będą miały międzynarodowe przełożenie. Więc od początku poprzeczka była wysoko ustawiona i trzeba było do niej doskoczyć. To było mobilizujące.

Pamiętam doskonale dyskusje w tamtych czasach: Teologia na uniwersytecie? Nauki pa-cierza i liczenie zastępów anielskich wśród poważnych dziedzin akademickich?

Myślę, że udało nam się odłamać przez te lata, czym naprawdę jest teologia i jaką wartość ma w życiu pojedynczego człowieka i społeczeństwa. Owszem, prowadzimy badania, które dotyczą historii myśli chrześcijańskiej i zastanawiamy się, dlaczego przyniosła ona owoc w postaci kultury jaką znamy, z wolnością i sprawiedliwością? Przyglądamy się również jak religijność wpływa na dobrostan człowieka, a wiara na jakość życia. Teologia to nie przeszkolenie modlitewne, to nauka o sensie. Zatrudniliśmy kadrę z doświadczeniem na świetnych uczelniach w Hiszpanii, Włoszech, Austrii i Francji. Od początku było wiadomo, że idziemy z nową teologią, która przełamuje schematy dominujące na polskim „rynku teologicznym”. Chcieliśmy zrobić coś rzeczywiście pożytecznego, a jednocześnie światowego, myśleć globalnie, ale działać lokalnie. Dlatego prowadziliśmy badania dotyczące kultury pomorskiej, dziedzictwa religijnego, a jednocześnie stawialiśmy sobie pytania dotyczące człowieka w kontekście najnowszych technologii.

Pewien znajomy pastor mawia, że wydziały teologii najlepiej byłoby pozamykać na cztery spusty. Bo wierzący ludzie, którzy do nich trafiają, wracają albo jako heretycy, albo ateści.



FOT. ADAM WILLMA

Ksiądz profesor Piotr Roszak

Rozumiem ironiczne przesłanie, ale uważam, że teologia integruje wierzących, a jednocześnie otwiera w nich poznawczą ciekawość. Wiele innych wydziałów uczy dziś „jak” coś zrobić. My pytamy „po co”? Żeby odkryć sens, trzeba mieć poczucie wartości. Nie jesteśmy tu po to, aby podważać zdobycze nauki, ale po to, aby łączyć doświadczenie duchowe z refleksją racjonalną i naukową. Owszem, takie połączenia skutkują niekiedy „eksplozją” - przypadkami teologów, którzy nam „odjeżdżają”. Ale efekt integracji jest znacznie silniejszy. Średniowieczna teologia zawsze szukała całości; nie chodzi o układankę z wygodnie dobranych elementów, tylko o spójność wszystkich elementów. My jesteśmy laboratorium, w którym tej spójności szukamy.

Obliczyliście już w tym laboratorium, ile diabłów mieści się na główce szpilki?

Ha! Ten żart ma solidne korzenie. Chodziło o naturę bytów duchowych. Dziś te pytania wracają na konferencjach w Oxfordzie i Cambridge - choć brzmiały inaczej: co znaczy istnieć bez materii? Gdy przejrzyć tytuły konferencji w tych angielskich uczelniach, zobaczymy choćby temat zmarłych wstania - nie tylko w perspektywie historii dogmatu,

lecz jako pytanie: ile rodzajów materii istnieje? Paradoksalnie odkrywamy dziś właściwości materii, które zbliżają nas do intuicji średniowiecza. Pytania są te same, choć stawiane innym językiem. Zmieniamy język, ale problem zostaje.

A może wystarczy poprosić sztuczną inteligencję, żeby przewertowała Stary i Nowy Testament oraz pisma ojców Kościoła i w ciągu paru minut ułożyła wszelkie teologiczne wykładnie?

Przekonujemy się każdego dnia, że sztuczna inteligencja potrzebuje systemu naprowadzającego i nigdy nie będzie obiektywna w tym sensie, że sama z siebie dokona trafnego wyboru. Zawsze zapyta: „Z jakiej perspektywy?”, „Co chcesz uzyskać?”. Jest trochę maszyn do spełniania życzeń: co zechcesz, przygotowuje, spójnie to formatując. Widzimy też niebezpieczeństwa: używanie AI w innych celach niż poznawcze, jak choćby zastępowanie relacji, wpływ na życie rodzinne i społeczne, automatyzm decyzji i związana z tym niejasność, problemy z zaufaniem oraz uzależnienia. Badamy to na naszym wydziale i staramy się pomagać ludziom, wdrażając działania terapeutyczne. Dlatego założyliśmy nawet międzywydziałowe centrum - razem z prawnikami i filozofami -

żeby pomóc lepiej rozumieć technologię i wskazywać model współpracy, który nie zniszczy ludzkiej kreatywności. Zawsze też pytamy, czy to naprawdę inteligencja, czy symulacja inteligencji. Jeśli zbyt szeroko się nią wyręczamy, to bierzemy niejako kredyt, który kiedyś trzeba spłacić.

Mleko się wylało. AI występuje już nawet jako autorka książek z zakresu teologii.

I w pewnym sensie jest teologiem idealnym - ułożył każdemu taką, jaka mu pasuje. Dlatego chcemy powracać do dawnej kultury argumentacji, jak w średniowieczu - wielkich dysput, w których ścierały się racje, a nie emocje. Teologia nie jest ideologią; to poszukiwanie sensu w oparciu o obiektywne odpowiedzi. Jak w gramatyce: bez zasad będzie bełkot. Trzeba bronić „gramatyki” ludzkiego życia i dyskursu.

Gdyby miał ksiądz zabrać na bezludną wyspę jedną książkę teologiczną...

To byłoby komentarze biblijne Tomasza z Akwinu.

Litości, a nie św. Augustyn? Tam przynajmniej „się dzieje”, są „momenty” i zwroty akcji.

Augustyn jest znakomity [śmiech], ale Tomasz integruje wszystkich, którzy byli przed nim, dodaje własną syntezę i wskazuje kierunek. Wziąłbym przewodnik, a nie tylko zapis przeszłości.

Bohaterem talk-show raczej by dziś nie został.

Miał wiele sugerujący przydomek „niemy wół” [śmiech], ponieważ dużo myślał i niewiele mówił. Z wieloma się nie zgadzał, ale pokazywał właściwą drogę i uczył sztuki myślenia: formowania relacji, w których szukamy prawdy - nawet jeśli ta prawda jest u muzułmanów czy Żydów. Rozmawiał z nimi, czasem wbrew nastrojom własnego środowiska.

Łagodnie ksiądz to ujął.

Św. Tomasz był odważny. Fakt, że zaraz po śmierci został potępiony przez biskupa Paryża za rzekome niezgodności z chrześcijaństwem (co potem szybko odwołano), pokazuje, jak wyprzedzał epokę. Nie był „strażnikiem” gaszącym herezję - raczej tym, który mówił: idźmy dalej, skoro rozum jest darem Boga, powinniśmy go słuchać.

Zdarza się księdzu łapać za głowę podczas słuchania kazań?

Niestety, zdarza się. [Śmiech] Ale nie chciałbym nigdy wchodzić w rolę inkwizytora. Rozmawiam po bratersku. Na przykład: modlimy się „za duszę” czy „za człowieka”? Z teologicznego punktu widzenia to niebagatelna różnica. Zła teologia potrafi narobić szkód - szczególnie gdy skupia nas na pobocznych sporach.

Wyniki badań socjologicznych w populacji ludzi wierzących, muszą chyba jeździć teologom włosy na głowie. Pośród ludzi określających się jako wierzący, większość nie wierzy w szatana, piekło...

A czasem nawet w zmartwychwstaniu! Na pierwszym roku studentom często burzy się spokojny świat, w którym wyrosli. Celowo rozbijamy studentowi „uformowanemu w wierze” schematy, uprzedzenia, przyzwyczajenia, również te językowe. To może być dla nich szokujące, bo pewne narzędzia krytyczne, historyczne wprowadzają zamieszanie. Ale też stawiają ważne pytania. Przede wszystkim jednak każą przekraczać granicę popularnych ocen. Dopiero na kolejnych latach ten roztrzaskany obraz składamy część po części, na nowo. Staramy się przełamywać przekonanie, że Kościół naucza dogmatów, które zamykają wszelką dyskusję. Mówimy: dogmat to nie mur, ale okno, przez które masz spojrzeć na rzeczywistość. Dogmat to podpowiedź, że ta droga myślenia jest ślepa, nie-którzy już nią szli i wrócili, bo nic na tej drodze nie ma.

Wychodzi ksiądz z tej swojej teologicznej szklanej wieży, a na zewnątrz szara rzeczywistość - Kościół widziany z perspektywy afer, chciwości, zbratania z politykami...

To prawda, ale taka tendencja do uogólnień jest dziś powszechna w życiu społecznym i dotyczy nie tylko Kościoła. Upraszczamy skomplikowane sprawy, żeby łatwiej sobie z nimi radzić. Ale to jest często szkodliwe choćby z tego powodu, że podważanie i wręcz wyśmiewanie systemów wartości, na których wychowały się wszystkie poprzednie pokolenia, przekłada się między innymi na zdrowie psychiczne młodych ludzi. To nie zabawa, mamy ofiary tego podważania

wszystkiego. A to wyprało nas z przekonania, że istnieją obiektywne prawda i dobro. Naszą receptą jest otwarcie się na głosy, które płyną z tradycji, szukanie rozwiązań całościowych, a nie leczenie objawów.

Łatwiej jest bronić Boga niż jego „funkcjonariuszy”?

Pana Boga na szczęście nie musimy bronić, bo potrafi obronić się sam, nie potrzebuje adwokatów. My, jako teologowie, mamy obowiązek udzielania odpowiedzi na pytania, które się rodzą z ludzkiego doświadczenia i poszukiwania sensu. Ale nie możemy się ograniczać tylko do tych ziemskich odpowiedzi. Musimy brać pod uwagę wszystkie głosy, które płyną także z zaskakujących stron, tych nadprzyrodzonych. Rolą teologa jest zachęcanie do rzeczy ważnych i wielkich, patrząc na świat z perspektywy Boga.

Gdyby miał ksiądz do dyspozycji tylko jeden tweet, aby oddać istotę chrześcijańskiej teologii, jak brzmiałoby te 280 znaków.

„Bóg jest miłością i prawdą, a my żyjemy dla czegoś więcej niż to ziemskie życie. Warto więc iść za Chrystusem, który pierwszy tam dotarł. Wierzyć w Boga, to zaufać w ten zaskakujący pomysł Boga”. ©©

CV

Prof. dr hab. Piotr Roszak Teolog, profesor Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu (Wydział Teologiczny) oraz profesor stowarzyszony Uniwersytetu Nawarry w Pampelunie. Członek zwyczajny Papieskiej Akademii św. Tomasza z Akwinu; redaktor naczelny „Scientia et Fides” i dyrektor serii „Scholastica Thoruniensia”. Autor kilku monografii i prac zbiorowych oraz ponad 140 artykułów; wielokrotnie nagradzany. W rankingu Elsevier & Stanford University znalazł się w gronie 2 proc. najczęściej cytowanych naukowców na świecie (2021). Wydział Teologii na UMK, który współtworzy, jest obecnie najwyższej notowany w Polsce (ranking Perspektyw).

Ulica 10 Maja w Głogowie. Ba. Uliczka. 232 metrów długości, 18 numerów, 47 zameldowanych mieszkańców. Tak mówi ostatni raport demograficzny z 21 grudnia 2024 roku.

Po jednej i drugiej stronie domy pamiętające czasy przedwojennego Głogau: wolnostojące, bliźniaki, ale jest też kilka, w których na każdym piętrze mieszka inna rodzina: niekiedy dwie, niekiedy trzy. Domki ładne, zadbane. Każdy z ogrodem. Sporym: trawnikami, drzewami ozdobnymi i owocowymi („Czereśnie są przepyszne – szpaki zlatują się do nich z całej okolicy” – uśmiecha się pani Eugenia Rudkiewicz spod jedenastki, której czereśnia w tym roku bardzo obrodziła).

Ta mała droga łączy spokojniejszą ulicę Fryderyka Chopina, z ruchliwszą ulicą Tadeusza Kościuszki, przy której stoi miejski szpital.

już po przejściu miasta przez Polaków – opowiada Andrzej Ruebenbauer, który przy 10 Maja mieszka od urodzenia, w domu pod numerem pięć.

- Jak to się stało? – dopytuję.

- Nie wiem, ile w tym prawdy, a ile legendy, ale opowiem: działo się to 10 maja, w dniu uroczystym, kiedy burmistrz Hoinka otrzymał symboliczne klucze do miasta od dowódcy wojsk radzieckich, tych wojsk, które wyzwoliły Głogów. Uroczystość była w ruinach Starego Miasta. I burmistrz Hoinka, w dowód wdzięczności, sprowadził z pobliskiej Kotli całą cysternę bimbrowa, i podarował ją radzieckim żołnierzom. A Ruscy, jak popili, to strzelali na oślep, a na koniec zabawy podpalili ten jeden, nieszczęsny dom na naszej ulicy – wspomina.

Do 1945 roku przy dzisiejszej 10 Maja mieszkali urzędnicy, rzemieślnicy, kupcy.

Niemiecka pościel leżała jeszcze na łóżku

Jednymi z pierwszych, którzy zamieszkali przy 10 Maja, była rodzina Andrzeja Ruebenbauera.

- Odkąd pamiętam, żyliśmy z innymi sąsiadami z ulicy jak w jednej, wielkiej rodzinie – uśmiecha się pan Andrzej.

Był nauczycielem w szkole samochodowej. Ale tylko do sierpnia. Przez wszystkie lata pracy wykształcił w Głogowie setki mechaników – można więc powiedzieć, że każde auto w mieście widziało się kiedyś z jego absolwentem. Ale teraz koniec – zdrowie na dłużej nie pozwala.

Jego rodzice, kiedy wprowadzili się pod piątkę, wspominali, że „jeszcze pościel leżała na łóżkach”. Niemcy zostawili wszystko to, czego nie mogli zabrać: mebli, ale też innych rzeczy codziennego użytku.

sną 1939 roku urodziło się siódme (...) Po drugiej stronie domu mieliśmy duży ogród. Uprawiane były na nim różne warzywa. Była też stajenka dla naszej Kariny (...)

Andrzej Ruebenbauer wspomina: - Mój ojciec – przedwojenny oficer Wojska Polskiego, był z Poznańskiego, ale do Głogowa przyjechał wprost z obozu pracy na Węgrzech, w którym był w czasie wojny. W Głogowie został kierownikiem urzędu, który zajmował się osiedlaniem repatriantów. Miał wykształcenie rolnicze, potem pracował więc aż do śmierci w głogowskiej cukrowni. Mama zajmowała się domem. Ja urodziłem się już tutaj, w Głogowie, i od dziecka mieszkam na 10 Maja. Całe życie tu spędziłem, patrzyłem, jak ta nasza ulica się zmienia. Do lat 70. było tu tak, jak tuż po wojnie. Potem niektórzy starszy sąsiedzi zaczęli umierać, ich dzieci powyjeżdżały, pojawili

sprowadzali się w ostatnich latach starsi ludzie – dla wygody, bo nie ma schodów. Są też nowi sąsiedzi, młodzi, z dziećmi – jak Bogumiła Szlifierz spod trójki (wcześniej przez całe lata w jej domu mieszkał autor książki „Mieszkam koło szpitala...” – Wiesław Maciuszczak).

Ten dzień to wielkie święto sąsiedztwa, dobrego sąsiedztwa

Pani Bogusia zaprasza nas do mieszkania.

- Ostrożnie, na samą górę, niech pan uważa, bo schody stare, drewniane, strome – ostrzega. Siadamy przy kuchennym stole, pani Bogusia parzy herbatę, na paterze lądują trzy rodzaje ciasta.

- Bogusia jest naszą sąsiadką od niedawna. Ze 12 lat. Ale ile ona dla nas i dla ulicy dobrego zrobiła! To ona

tekst *Robert Migdał* Dziennikarz „Gazety Wrocławskiej”, reportażysta, autor wielu książek i wywiadów



JEDNEGO SĄSIADA BRAKUJE. NO ALE ON MA KRASNALE W OGRODZIE I WIELKIE NOŻYCE NA ŚCIANIE, WIĘC Z NIM NIGDY NIE WIADOMO, PEWNIENIE KIEDYŚ SIĘ PRZEŁAMIE

Nie pierwszego, nie trzeciego, ale dziesiątego. Dlaczego?

Ulica 10 Maja. Dziwna nazwa. Skąd się wzięła? Tak to wyjaśnia w swojej książce „Mieszkam koło szpitala...” Wiesław Maciuszczak, historyk, były mieszkaniec tej ulicy: „Zaproponował ją – w 1945 roku – Adam Królak, jeden z nowych mieszkańców Głogowa, bo tego dnia niemiecki Glogau stał się polskim Głogowem. Wszędzie były toalety i łazienki. Doprowadzona energia elektryczna. Nie było tu jeszcze gazu” – czytamy opis niemieckich domostw w czterostronicowym wydawnictwie okolicznościowym zatytułowanym „Wehikuł czasu” (odbitka na ksero, na zwykłym papierze – ale w kolorze. Skarbnica wiedzy – w pigułce – o historii ulicy).

Tuż po tym, jak Głogów stał się polskim miastem, „co odważniejsi osadnicy zaczęli zajmować domki willowe, remontowali je na własną rękę (...) Część budynków oddano do dyspozycji instytucjom i urzędom, by zapewnić mieszkania niezbędnym dla miasta fachowcom” – to kolejny opis ze wspomnianej wyżej broszurki.

„Dom przy ulicy Herderstrasse 10 w Głogau zbudowany został w 1938 roku (...) Mój ojciec, Karl Voigt, był dyrektorem banku. Wprowadziliśmy się do mieszkania najprawdopodobniej w tym albo w następnym roku (1939). Rodzice mieli sześcioro dzieci, a wio-

W moim domu mieszkali za Niemca dwaj bracia z żonami i dziećmi. Jeden na górze, drugi na dole. Przedsiębiorcy: jeden z nich miał odlewnię żeliwa i nawet są jeszcze w mieście studzienki ściekowe, na których jest napisane „Glogau” – to on je zrobił. Drugi prowadził fabrykę kafla na piec. Mam piec z tymi kaflami do dzisiaj. Nie zdemontowałem przez tyle lat, bo jest ładny – został tylko na pamiątkę, bo ogrzewanie mam już gazowe – wspomina Ruebenbauer.

Jedną z dawnych mieszkanek przedwojennej ulicy 10 Maja, która po latach odwiedziła miejsce swojego dzieciństwa, była Dorotea Voigt de Vara. Przyjechała na spotkanie do swojego Głogau w 2018 roku. I jak pisze w książce „Mieszkam koło szpitala...” Wiesław Maciuszczak, „podzieliła się okrucami pamięci”:

„Dom przy ulicy Herderstrasse 10 w Głogau zbudowany został w 1938 roku (...) Mój ojciec, Karl Voigt, był dyrektorem banku. Wprowadziliśmy się do mieszkania najprawdopodobniej w tym albo w następnym roku (1939). Rodzice mieli sześcioro dzieci, a wio-

się nowi lokatorzy. Remontowali domy, przerabiali je po swojemu. Ja swojego do dzisiaj nie ociepiłem styropianem, wolę, by wyglądał tak, jak po wojnie.

Mieszkańcy cenią sobie spokój („niby w mieście, a jak na wsi”) i że wszędzie jest blisko („i szpital za rogiem, kościoły, autobus niedaleko”).

- No i zakład pogrzebowy mamy na naszej ulicy, najstarszy w całym mieście, bo jeszcze w latach 50. ojciec obecnego właściciela miał zakład stolarski i meble produkował. Meble i... trumny. Coś dla żyjących i coś dla tych, co odeszli – kiwa głową pan Andrzej.

Pokazuje dom naprzeciwko. - O, tu umarła nasza wieloletnia sąsiadka, córka odziedziczyła, sprzedała i poszła sobie gdzieś pod Warszawę. Niektórzy nie chcą w tych starych domach mieszkać, wolą nowe bloki. Nie patrzą na to, że dom to nie tylko cztery ściany, że też otoczenie, ludzie, koło których się żyje i z którymi się żyje. Dla mnie to wielka wartość. Ja bym się z 10 Maja nie wyprowadził – zaklina się Ruebenbauer.

Ulica się zmienia, ale jej puls wciąż mocno bije. Na partery domów po-

wymyśliła święto „Imieniny ulicy 10 Maja”, ona nas integruje. Cudowna sąsiadka – mówi Ruebenbauer.

Bogumiła Szlifierz uśmiecha się skromnie pod nosem, nakłada na talerzyki babkę piaskową oraz ciasto z kremem i owocami. Krem znakomity, a babką, choć ma rodzinę, też się częstuje. Gdy chwałę wypieki, mówi: - Sama nie piekłam, to kupne, ale ze sprawdzonej cukierni.

A potem zaczyna opowiadać.

- Gdy się tu wprowadziłam, zastanawiałam się, dlaczego ta ulica ma taką nazwę. No i kto tu mieszka, kim są moi sąsiedzi, co robią, jakie mają pasje? Chciałam poznać ich historie, historie ich rodzin, historie poprzednich lokatorów.

- Po co? – pytam, może trochę zbyt obcesowo.

- Zaciekała mnie przeszłość tego miejsca. Zaczęłam pytać – najpierw najbliższych sąsiadów, potem tych dalszych: jak to było kiedyś. I wtedy wpadłam na pomysł, żeby zebrać wszystkich i usiąść z nimi przy jednym stole. Wielkim stole, ustawionym na środku ulicy! I porozmawiać, powspominać. Chciałam, żeby moi sąsiedzi wyszli

z domów, żeby się otworzyli bardziej jeden na drugiego, żeby każdy opowiedział, co go trapi, boli, co mu się podoba, a co nie. Żeby wyciągnąć starszych mieszkańców z ich czterech ścian, z samotności. I zintegrować tych starszych z młodszymi.

Pierwsze „Imieniny ulicy 10 Maja” odbyły się 10 maja 2018 roku – jakże inaczej, data nie mogła być inna.

Taki był finał wielomiesięcznych przygotowań. Najpierw pani Bogusia sama chodziła od domu do domu, pytając, czy zgadzają się na świętowanie imienin ulicy i co sądzą o tym pomysłe („Tym, których nie zastałam w domu, wrzucałam kartkę z informacją do skrzynki pocztowej” – wspomina). Potem zorganizowała spotkanie mieszkańców – przyszli prawie wszyscy (zabrakło jednego sąsiada). Gdy jednogłośnie przyjęto jej pomysł, ruszyła lawina pism (zgoda na zamknięcie ulicy od miasta, wysyłanie zaproszeń – do byłych i obecnych mieszkańców, do proboszcza, do radnych, prezydenta). Gdy uporała się z papierami – poszło jak z płatka. Nie obejrzała się i był maj. Ulica zamknięta, na środku stoły przykryte – elegancko – obrusami.

Stoły i krzesła wyciągnęli ze swoich domów, wszyscy pomagali nosić. Na nich wyładować imieninowy tort, obok – ciasta i soki, żadnego alkoholu. Kwiaty w doniczkach.

Imieniny można zacząć, jeszcze tylko ostatni sznyt. Pani Bogusia wieśza kolorowe trójkąci na płotach („wcześniej były balony, ale powietrze z nich schodziły i wyglądało to źle”), pilnuje dostawy stołów i żeby były obrusami przykryte (ma być elegancko!).

I tak już jest każdego roku. Zawsze w maju. Zawsze dziesiątego.

Atmosfera jest rodzinna. Są chwile wzruszenia („kiedy wspominamy tych, których już z nami nie ma”) i łyż radości („kiedy się spotkamy z kolegami, sąsiadami, przyjaciółmi niewidzianymi od lat”). Ale też i śmiech: „kiedy opowiadamy sobie historie sprzed lat – jak tę tragiczno-śmieszną, kiedy jeden z sąsiadów wyskoczył przez okno, ale się nie zabił, bo spadł na drzewo owocowe pod oknem i gałęzie zamortyzowały upadek”) – słucham coraz dziwniejszej opowieści.

- I co z nim teraz?

- Dawno się wyprowadził, mieszka na drugim końcu Polski, w Lublinie, ale często odwiedza Głogów. Przyjeżdża do nas na 10 Maja.

- Wspominamy też dawnych mieszkańców ulicy, opowiadamy tym, którzy tu teraz mieszkają – kim byli ich sąsiedzi, kto wcześniej mieszkał w ich domach. To ważne, bo pamięć bywa ulotna – mówią zgodnie i dodają: - Te spotkania są budujące. Dodają nam jakiejś takiej energii na cały rok. I chyba po każdym bardziej się z sąsiadami lubimy, choć wydaje się, że bardziej się już lubić nie da.

Ludziom spodobała się taka forma integracji. - Głogowanie zaczepiają mnie na ulicy: „Pani Bogusiu, czy na pewno w przyszłym roku będzie to święto na ulicy?”. Więc chyba im się podoba – mówi pani Bogusia.

Organizuje imieniny od początku do końca. Dbą o wszystko, począwszy od stołów, poprzez catering, na ulicznym grajku skończywszy. Organizacja takiej imprezy to koszty, ale...

- Znalazłam sposób – uśmiecha się pani Bogusia. - Napisałam projekt, żeby otrzymać pieniądze z budżetu obywatelskiego. Spodobał się w całym Głogowie. Nawet ludzie z innych części miasta głosowali na nasz pomysł. I dostaliśmy pieniądze. I w tym roku też składamy wniosek do budżetu – dodaje. Sama chodzi od domu do domu, zbiera podpisy.

- Wieczorem zmęczenie jest ogromne, ale i satysfakcję trudno opisać. To jest taka radość w sercu: że ludzie przychodzą, że się im podoba – mówi pani Bogusia.

Mieszkańcy ulicy, głos zbiorowy, niczym chór: - Doceniamy bardzo to, co Bogusia robi dla nas. Że nas tak integruje. Że dzięki niej bycie sąsiadem to nie jakieś slogany. Że to ma wartość. Że dzięki niej nie dzielimy się tylko pomidorami, które nam na działce obrodziły, ale swoim życiem – radościami, problemami. Te rozmowy są bezcenne. Budują wspólnotę. Taką naszą, maleńką, na jednej ulicy – dodają.

Wspólnota nie składa się na organizację imienin – każdy, kto przychodzi, przynosi coś ze sobą: czy to ciasteczka, czy ciasto upieczone, może być też kupione, ktoś zrobi herbatę, ktoś inny przyniesie kawę, kolejny wodę. Jak u cioci na imieninach.

Świętują i obecni mieszkańcy ulicy, i dawni, którzy zjeżdżają tego dnia choćby z Zielonej Góry, Lublina czy Wrocławia, przychodzą też osoby z pobliskich ulic i z najdalszych zakątków Głogowa. Przy jednym stole siedzą i dzieci, i dorośli, w tym historycy – ciekawi wspomnień mieszkańców. Nie może zabraknąć prezydenta Głogowa.

Jest jak w domu, młodszy usługuje starszym, a to kawę przyniosą, a to cukier podadzą.

- Nigdy nie było problemu, żeby jedna sąsiadka drugiej cukru pożyczyla, nawet jak była komuna. A sąsiad coś mocniejszego, gdy zabrakło w domu, a goście na progu – śmieją się mieszkańcy.

Andrzej Ruebenbauer zastanawia się chwilę: - Pamiętam jeszcze, jak w czasach PRL co sobotę była taka sąsiadzka tradycja na ul. 10 Maja: do mojej matki schodziły się sąsiadki, znosiły wszystkie potrzebne produkty, kto co miał w domu: mąkę, jajka, owoce, cukier i wspólnie piekły ciasta. Jak pachniało w całym domu!

- A czemu u was w domu odbywało się pieczenie?

- Bo nie wszystkie panie potrafiły upiec, a moja mama tak. Uczyla je, pokazywała, co i jak, skończyła szkołę gastronomiczną.

Pani Bogusia dalej: - Chciałam, żeby na tych symbolicznych imieninach ludzie się nie tylko spotkali, zjedli i powspominali. Ale też, żeby to był taki moment pojednania, jeśli ja czyś sąsiedzi są skłóceni ze sobą, to żeby podali sobie ręce na zgodę.

- Czyli nie tylko sielanka? - dopytuję.

- Mamy sąsiadów innej wiary, która nie pozwala im obchodzić imienin, urodzin i wspólnie świętować. Bo to ich zdaniem pogańskie zwyczaje. Ale szanują naszą nową, sąsiadzką tradycję, nie protestują, że ulica jest zamykana, a pod ich oknami ludzie imprezują. Dobrzy ludzie, spokojni sąsiedzi. Mają swoje



Rok 1959. Atmosfera na ul. 10 Maja nie zmieniła się przez dekady

zasady. My to szanujemy, choć integrować się w ten sposób z nami nie chcą. No i jest jeszcze jeden sąsiad na ulicy, który nikogo nie lubi.

- A jednak – nie chciałem, żeby to źle zabrzmiało, choć chyba tak właśnie zabrzmiało.

- I on nie chce mieć z nami, swoim sąsiadami, niczego wspólnego. Nic mu się nie podoba, niczego nie chce. Ale co roku liczymy na cud. Każdego roku go zapraszamy do wspólnego stołu, do wspólnego świętowania, do poznania się bliżej. Może kiedyś się przełamie, może kiedyś do nas wyjdzie.

Sąsiad, który nikogo nie lubi? Na ulicy, gdzie lubią się wszyscy? Idę do niego, rzyk-fizyk, najwyższej przeklnie mnie albo wyśmiej, że zachwyam się 10 Mają.

Mały, zadbane dom. Równy przystrzyżony żywopłot, który zastania ogród za domem przed oczami ciekawskich („On tam poustawiał mnóstwo krasnali ogrodowych, takich gipsowych, kolorowych” – opowiadają jego sąsiedzi).

Przed domem – na ścianie pozwieszane podkowy i wielkie, metalowe nożyce. Przy jednym z okien dziwna konstrukcja z dwóch lusterek: jedno skierowane na ulicę, obok drugie, które przechwytuje odbicie z pierwszego i w którym właściciel domu (nie pokazując się odwiedzającym) może zobaczyć, kto do niego przyszedł.



Pierwsze „Imieniny ulicy 10 Maja” odbyły się 10 maja 2018 roku – jakże inaczej, data nie mogła być inna

Przy płocie – dwie tabliczki „Uwaga! Zły pies”, choć nie słychać żadnego szczekania, gdy podchodzę przed furtkę.

Zanim naciśnę dzwonek, muszę odgarnąć pajęczyny. Widać, że rzadko ktoś korzysta z przycisku. Dzwonię. Cisza. Nikt nie wychodzi. Nie reaguje. Przychodzę pod dom pana Stanisława czterokrotnie, w różnych porach dnia. Bez skutku. Nie ma z nim kontaktu.

- Z nim już tak jest. Nie otwiera nikomu. Samotnik. Kiedyś to jeszcze okno uchylił i rzucił „złym słowem” – mówią mieszkańcy.

- „Złym słowem”?

- No, żeby odejść, ale mówił to w wulgarny sposób... Dziś tylko patrzy przez te swoje lusterka i nikomu nie otwiera.

Szkoda, bo byłbym bardzo ciekawy: Jak postrzega swoich sąsiadów? Dlaczego się od nich izoluje? Czy stoją za tym jakieś niesnaski z przeszłości?

Na ulicy nóżka chodzi

Dla dzieci dzień imienin ulicy to raj. Tego jednego dnia mogą się bawić, bezpiecznie, na środku ulicy. Malować kredą, pograć w piłkę od płotu do płotu, bez obawy, że coś nadjedzie. Jest wesoło.

No, i jak to na imieninach, jest muzyka. Przez lata przychodził profesjonalny muzyk, rozkładał organy elektroniczne i grał. W tym roku był DJ. Kto ma ochotę, może potańczyć na środku

ulicy. - Ludzie czują rytm, podrygują, nóżka im chodzi. I wychodzą na środek ulicy. I tańczą. Cudowny widok – śmieją się mieszkańcy.

Pani Bogusia zapewnia, że te wszystkie zachwyty wcale nie są na potrzeby mediów. - Dowód mam – kładzie na stole ciężką, oprawioną na bordowo, księgę pamiątkową, w której co roku wpisują się goście.

Pani Bogumiła napisała na stronie tytułowej: „Kochani! Z całego serca dziękuję za waszą obecność i udział w obchodach imienin ulicy 10 Maja. Oddaję w wasze ręce tę księgę, w której proszę Was o pamiątkowe wpisy. Każdy będzie na wagę złota”.

Różne kolory długopisu, różne charakterystyki pisma:

„Wychowałam się na tej ulicy od trzeciego tygodnia życia do dorosłości. Napełniłam beztroską, radością, spokojem i atmosferą wspólnoty sąsiedzkiej. Wyniosłam to w swoje dorosłe życie. Ulico, sąsiedzi, koleżanki – dziękuję”.

„Bardzo się cieszymy, że jesteśmy częścią tej pięknej ulicy i społeczności bardzo życzliwych sąsiadów (...).”

„Świetna inicjatywa dla obecnych i byłych mieszkańców 10 Maja”.

„To fantastyczna sprawa”.

„Pomysł bardzo oryginalny, godny naśladowania i kontynuacji”.

„Superdoskonała wycieczka historyczna po ul. 10 Maja”.

„Dziękuję za zorganizowanie święta mojej ukochanej ulicy 10 Maja. Dziś jestem tu z synem Wojtkiem i wnuczką Olusiem. Moja mama Irena niestety już odeszła...”.

„To możliwość poznania fantastycznych ludzi”.

„Mamy szczęście mieszkać na najpiękniejszej ulicy w Głogowie”.

„Drodzy sąsiedzi. Dziękujemy za wspólne biesiadowanie na naszej pięknej ulicy. To wyjątkowe wydarzenie (...) Niech najmłodszy uczą się od naszych najstarszych tradycji”.

„Ja chodziłam tą ulicą od września 1976 do marca 2008 do pracy do szpitala”.

Dom nr 9. Śliczny, zadbane. Właśnie tu mieszkają Teresa i Lucjan Koch.

Klimatyczne mieszkanie na parterze – na ścianach obrazy biją po oczach soczystymi barwami. W powietrzu czuć farbami pomieszanymi z zapachem roślin złanych deszczem. Intensywny zapach wpada przez otwarte okno.

- Dobrze, że pada. Bo sucho w ogrodzie strasznie.

- Niech pan siada, kurtkę ściągnie, porozmawiamy. O sąsiadach z ulicy? Chętnie i od razu panu powiem, że ludzie z innych części miasta nam zazdroszczą. Tak, tak. Zazdroszczą. Że sąsiedzi mogą tak funkcjonować obok siebie. Na zamkniętych osiedlach, w anonimowych blokach, wieżowcach – ludzie się nie znają. Nie to co u nas... - mówi pani Teresa, malarka.

Jej mąż Lucjan (przez wiele, wiele lat lokalny przedsiębiorca – prowadził m.in. najbardziej znany sklep z ekskluzywnymi ubraniami w mieście) dodaje:

- Ja żyję tu od 1960 roku. Wtedy moi rodzice kupili ten dom. Miałem 20-letnią przerwę po ślubie, ale wróciłem: mama umarła, ojciec został sam. Trzeba było się nim zaopiekować. Mieszkał z nami jeszcze 14 lat.



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Ulica 10 Maja, kilka lat po wojnie. Dzieci wychowywały się wspólnie

- Dobrze nam tu. Nikt na nikogo krzywo nie patrzy, nikt na nikogo źle nie mówi. Wprowadziło się na naszą ulicę wielu młodych ludzi, to dobrze. To bardzo otwarci sąsiedzi. Otwarte umysły. Świeże. Z jedną z sąsiadek mamy wspólną pasję: rośliny, wymieniamy się nawet sadzonkami. Jak trzeba, to i sąsiadce dziecko można przypilnować, jak w potrzebie jest i musi coś gdzieś szybko załatwić. I sąsiadce, co sama mieszka, w życiu codziennym pomóc, bo dzieci daleko - mówi pani Teresa. Pomoc działa w dwie strony. - Mąż wiele razy prosił któregoś z młodszych sąsiadów o pomoc: żeby przyszedł, coś mu pomógł przenieść.

Nigdy nikt nie odmówił - wspomina Teresa i dodaje: - Uważam, że trzeba być otwartym na drugiego człowieka, empatycznym. To procentuje. Jeśli lubisz ludzi, to ludzie lubią ciebie. Nie ma szans, żeby się nie porozumieć.

- Nie ma problemu, że sąsiad do sąsiada, bez umawiania się z wyprzedzeniem, bez zapowiedzi telefonicznych, wpadnie pogadać, zobaczyć co słycać. I nie ma jakiejś wrogości, dystansu. Mamy najbliższych sąsiadów innej wiary. No i co z tego? Dla nas nie ma to znaczenia. Ważne, jakim jest człowiekiem i sąsiadem - mówi pan Lucjan i dodaje: - Ja mówię mojemu sąsiadowi, co z boku mnie mieszka: „Sąsiad nie jest potrzebny bez przerwy, cały czas. Ale ważne jest to, że jak jest potrzebny, to jest obok. I pomoże”.

- Lucjan i Teresa są bardzo życzliwi, przyciągają ludzi - rzuca przysłuchująca się rozmowie pani Bogusia. - To nasze papużki-nierozłączki. Cudownie na nich patrzeć, jak się wspierają.

- Oj tak, mąż mnie wspiera. Bardzo. Zwłaszcza kiedy jakiś obraz namaluję na ciężkiej płycie i trzeba go przenieść - uśmiecha się Teresa.

Jej obrazy wiszą w całym domu. Piękne. Jedne w ramach, ale głównie bez: samo płótno naciągnięte na ramy.

Kolorowe postaci w różnych pozach i strojach (przeważają kobiety) przyciągają uwagę. Feeria barw. Uderza z nich niesamowita, pozytywna energia. Coś jak połączenie Pabla Picassa i Salvadora Dalego. Ale jednak widać oryginalny styl pani Teresy.

Ulubione obrazy pokazała sąsiadom podczas ostatnich imienin

ulicy. Te ulubione. Porozwieszała je na płocie.

Największą uwagę przyciągał portret kobiety w zielonej sukni. Tajemniczy, z dziwnymi postaciami w tle.

- Dla żony-artystki, która maluje obrazy, to dobre miejsce. Tu może być kreatywna. Może spokojnie tworzyć - mówi Lucjan.

- A ja niekiedy myślę sobie, że nawet tu za cicho jest. Wolałabym, żeby trochę szumu było: żeby dzieciaki biegały po okolicy, trochę hałasowały - dodaje pani Teresa.

Na 10 Maja mieszka sporo osób samotnych, ani dzieci, ani wnuków na miejscu nie mają. Sąsiedzi są bliskimi.

- Wiemy, jak ktoś dłużej choruje, to od razu zakupy zrobimy, po leki ktoś poleci, albo coś innego załatwić. Sąsiad jest cudownym lekiem na samotność - mówią mieszkańcy 10 Maja.

Ponad 80 procent Polaków deklaruje: nie unikamy sąsiadów

„Polacy w ogromnej większości twierdzą, że są otwarci na kontakty sąsiedzkie” - czytamy w telefonie zdanie z badań „Relacje sąsiedzkie” przeprowadzonych przez Centrum Badania Opinii Społecznej (CBOS) i patrzę na reakcję pani Bogusi, która razem ze mną odwiedziła małżeństwo Kochów. Potem podrzucam jeszcze trochę suchych faktów, bo chcę wiedzieć, jak teoria ma się do praktyki: „Ankietowani utrzymują, że nie unikają sąsiadów, nie izolują się od nich (84%), więcej nawet - w miarę możliwości starają się nawiązywać z nimi kontakty, pozdrawiając, zamieniając kilka słów czy rozmawiając z napotkanym sąsiadem (88%). Zdecydowana większość badanych twierdzi, że ma życzliwych, dobrych sąsiadów, na których w razie potrzeby mogliby liczyć (80%). Jednocześnie jednak sąsiedzkie relacje większości Polaków zdają się mieć przede wszystkim konwencjonalny, grzecznościowy charakter, a prawie trzy piąte badanych przyznaje, że w relacjach z sąsiadami starają się postępować tak, by nikt z nich nie miał do nich pretensji, ale trzymają się na dystans (57%).

Pani Bogusia: - Taka wspólnota, jak u nas, jest rzadkością. W wielkich miastach, w blokowiskach jest gorzej. A na zamkniętych osiedlach? Dramat!

Jak sąsiedzi są ze sobą na „dzień dobry” - to już sukces.

- Z perspektywy socjologicznej, dobre relacje sąsiedzkie mają bezpośredni wpływ na kapitał społeczny, zasób oparty na zaufaniu i współpracy, który decyduje o jakości życia, a także o poziomie bezpieczeństwa i solidarności w danej społeczności. Tam, gdzie ludzie się znają, rośnie skłonność do pomagania, spadają poziomy anonimowości i obojętności - wyjaśnia dr Barbara Kilijańska, adiunkt Wydziału Nauk Stosowanych z Uniwersytetu Dolnośląskiego DSW i dodaje: - Relacje sąsiedzkie wymagają zaangażowania, czasu i kultury dialogu. Współczesny styl życia, mobilność, tempo pracy, cyfrowa komunikacja często osłabiają potrzebę nawiązywania kontaktów z osobami „zza ściany”. Warto więc odzyskać świadomość, że sąsiad to nie tylko współlokator budynku, ale potencjalny sojusznik, przyjaciel, czasem nawet „rodzina z wyboru”. Właśnie w tych lokalnych więziach rodzi się realna demokracja i troska o otoczenie.

- Czyli bardzo poważna sprawa, choć rodzi się z prostej życzliwości - zagaduję.

- Gdy panuje życzliwość i wzajemna troska, przestrzeń ta staje się bardziej przyjazna, bezpieczna i estetyczna. Wówczas chętniej się w niej żyje, pracuje i wychowuje dzieci. Coraz częściej mieszkańcy inicjują sąsiedzkie wydarzenia: wspólne święta ulicy, lokalne obchody, pikniki czy spotkania integracyjne na podwórkach i placach. Tego typu inicjatywy sprzyjają nawiązywaniu relacji, ułatwiają rozmowę i przełamują codzienną anonimowość. Niekiedy już samo zorganizowanie prostego spotkania na świeżym powietrzu, staje się okazją do poznania się i zbudowania podstawowego zaufania.

Nie bez znaczenia jest też aspekt wychowawczy, dzieci uczą się postaw społecznych przez obserwację dorosłych. Jeśli widzą, że ich rodzice witają się z sąsiadami, pomagają im i angażują się w życie wspólnoty, wchłaniają te wartości jako coś naturalnego. Tak kształtuje się obywatelskość od podstaw.

Pół wieku temu, jak i teraz

Pani Bogusia mieszka w domu (pod trójką, przypomnijmy), w którym na parterze przez wiele lat żył i przyjmował pacjentów znany głogowski lekarz, chirurg Tadeusz Sulicki (blok operacyjny głogowskiego szpitala nosi jego imię). Już za jego czasów wspólnota międzysąsiedzka na 10 Maja miała się świetnie.

- To był sąsiad! - wspomina pan Andrzej. - Przyjechał do Głogowa w latach 60.

We wtorki i w piątki przyjmował prywatnie: w gabinecie. Ludzi była masa: z całego Głogowa przyjeżdżali, spod Głogowa furmankami, a potem dowody wdzięczności pacjentów biegały po podwórku: kury, gęsi, kaczki.

- Moja mama miała z doktorem taki układ sąsiedzki - przychodził do niej i pytał: „Pani Wando - gąska czy kaczka?”. Bo sam oskubać i ubić nie potrafił. A może nie lubił. I mama jednego ptaka dla doktora oporządzała, a drugi był dla nas - opowiada pan Andrzej i wspomina:

- Doktor to był człowiek wielu pasji. Młodzię lubił. O historii nam opo-

wiadał. Tej prawdziwej, nielegalnej, o Katyniu, o zbrodniach radzieckich. Miał wielkie poszanowanie, posłuch wielki. Nikt nawet nie pomyślał, żeby na niego donieść. A i swoimi pasjami nas, dzieciaków z 10 Maja, zarażał. Co niedziele nas do kina Bolko zabierał na seanse. Filmy o Indianach oglądaliśmy. Pamiętam, że niekiedy w czasie filmu wchodziła na salę bileterka, pani Majewska, i mówiła: „Pan Sulicki proszony do wyjścia. Pilny przypadek. Karetka już czeka przed kinem”.

Jak kupił sobie auto, piękną Warszawę, to pakował dzieciaki z sąsiedztwa do środka i wioził nas nad wodę, na Glinianki na Paulinów. A od sąsiadów za wizyty lekarskie nigdy pieniędzy nie brał. Gdy któryś z sąsiadów chciał mu zapłacić, mówił: „A w dupę mam cię kopnąć?”.

Pan Andrzej dodaje też, jak z zakładu pogrzebowego (był dokładnie vis-a-vis domu chirurga) wychodziła właścicielka i żartowała przez ulicę: „Tadziu, przysłałbyś jakiegoś klienta do mnie, a nie wszystkich tylko bierzysz dla siebie”.

Jak doktor Sulicki po sąsiedzku życie ludzkie ratował. Sam Bross był pod wrażeniem

Czuje, że o doktorze mieszkańcy mówić mogą bez końca.

Obok ul. 10 Maja, ciągnie się ulica Chopina. Mieszkała tam rodzina: matka, ojciec i czwórka dzieci, trzy córki i syn. Rok 1965.

- My, dzieciaki, bawiliśmy się w tym czasie najchętniej w wojnę. A w Głogowie sporo było jeszcze broni, niewypałów, niewybuchów, granatów poukrywanych, które potrafiłmy znaleźć. I pewnego dnia ten jeden, jedyny syn przyniósł do domu pocisk. Wiele rodzin nie miało ciepłej wody, łazienek. Oni też nie. Grzali wodę do kąpieli na środku kuchni. I ten chłopak, pach, ten pocisk w ogień wrzucił. I czekał co będzie - wspomina pan Andrzej.

Wybuch był straszny. Chłopaka na miejscu zabiło, a jedną z jego siostr odłamki poraniły okropnie. Ojciec chwycił ranną córkę i na rękach zniósł ją do karetki, która na sygnale pognęła do szpitala. Dziewiąta wieczór, wprowadzono doktora Sulickiego. Mieszkał kilkanaście metrów od szpitala.

Nie miał takiego sprzętu i aparatury, jak dzisiaj. Operował, odłamki powyciągał. Nie ruszył tylko jednego, dużego, który utknął przy sercu. Bo gdy próbował go ruszyć, serce natych-

miast przestawało pracować. Zaszły pacjentkę i wysłał ją na konsultację do Wrocławia. Zbadał ją sam profesor Wiktor Bross, ikona medycyny, pierwszy, który w Polsce przeprowadził operację na otwartym sercu. Prof. Bross stwierdził: „Tu nic więcej robić nie wolno. Ten lekarz z Głogowa zrobił wszystko to, co trzeba i dobrze, że tego odłamka nie wyciągał, bo gdyby go ruszył, to pacjentka by już nie żyła”.

- I niech sobie pan redaktor wyobrazi, że ta dziewczyna, dziś starsza kobieta, żyje! Urodziła dzieci, mąż już jej umarł, a ona żyje nadal - pan Andrzej nie może wyjść z podziwu.

„Po co ma pan chować w grobie dwójkę dzieci osobno?”

Co się dziś dzieje z tą dziewczynką, cudem ocalałą w wybuchu? Gdzie jest teraz? Jak wspomina ten tragiczny czas? Janka wtedy miała 16 lat. Dzisiaj - 76.

„Kiedyś mieszkała na drugim piętrze, w starym domu, obok był garaż” - mówi mi przez telefon pan Andrzej. - „Bym pana zaprowadził, ale w szpitalu wylądowałem, podleczyć się muszę”.

Chodzę pobliską ulicą Chopina, gdzie Janka mieszkała 60 lat temu. Od domu do domu - wybieram tylko te stare, ponemieckie. Do drzwi nowych budynków nawet nie pukam.

W większości domów nikt nie otwiera. Ci, którzy są w mieszkaniach - nie kojarzą wybuchu sprzed lat, ani dziewczynki, która ocalała. Nie dziwię się - to głównie młodzi ludzie.

W jednym z domów - dwa mieszkania. Dzwonię pod dwójkę („Janka mieszkała na piętrze”).

Otwiera starsza, szczupła kobieta. Uśmiecha się: „Kogo pan szuka?”.

Ubrana jest w letnią sukienkę, z lekkim dekoltem. Na piersi widzę bliznę, która biegnie prawie od szyi w dół, w okolice serca.

- Szukam pani Janiny, która mieszkała tu jako młoda dziewczynka: Janka Wagner... - pytam, choć jestem pewien, że już ją odnalazłem.

- To ja - odpowiada kobieta. - To mnie 60 lat temu ocalał doktor Sulicki i jego zespół. Do końca życia będę mu wdzięczna. Niech pan wejdzie - dodaje i zaprasza do mieszkania na piętrze.

Siadamy w pokoju, przy stole nakrytym białym obrusem. To w tym miejscu wydarzyła się przed laty tragedia.



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Mieszkańcy wspominają, że zawsze żyli z sąsiadami jak w rodzinie

- A że mnie pan tu znalazł, to dopiero niespodzianka. Wiele lat tu nie mieszkalam. Wyprowadziłam się stąd na osiedle Kopernik z mężem. Ale wróciłam tutaj, do mieszkania rodziców, po latach. Na starość.

Wspomina: - To był 25 stycznia 1965 roku. Szedł mi 16. rok życia, urodziny mam we wrześniu. Nie wiedziałam, że coś wybuchło. Myślałam, że wysiadł prąd, bo był wielki błysk i nagle zrobiło się ciemno. Nie straciłam przytomności: pamiętam widok zakrwawionego brata, który leżał oparty o drzwi, pamiętam ból, jaki mi rozrywał prawy bok, i to, że leżałam na podłodze i chciałam podsunąć sobie stołeczek, żeby na nim usiąść, ale siły nie miałam. I tatę pamiętam, jak mnie trzymał na rękach i tulił. I to, jak strasznie płakał.

I pamiętam doktora Sulickiego, bo to doktor z ulicy obok, który był przy mnie, który ze swoimi ludźmi mnie ratował.

- Ta blizna na piersi to ślad po tym wybuchu? - dopytuje.

- Nie. Tu mnie cieli lekarze z Wrocławia, już później. Doktor Sulicki mnie operował od prawej strony - bo dwa odłamki uderzyły mnie w prawy bok. Rozerwały płuco i doszły w okolice serca. Jeden zdołali wyciągnąć, drugiego - który utkwiał w osierdziu prawej komory serca - nie udało się ruszyć. A próbowali. Trzy razy. Gdy lekko wyciągali, serce przestawało bić - więc zostawili w spokoju.

Rodzina opowiadała mi, gdy doktor Sulicki wyszedł po operacji na korytarz, to był cały w mojej krwi. Tata wspominał, że wyglądał jak „po świńbiciu”. Powiedział tylko: „Zrobiliśmy, co tylko mogliśmy. Córka ma cholernie silne serce, ale niech się pan z pogrzebem syna wstrzyma jeszcze. Nie wiadomo, czy córka przeżyje. Po co ma pan w grobie dwójkę dzieci chować osobno”.

Pani Janina uśmiecha się. - A ja z tym kawałkiem metalu przy sercu już 60 lat żyję. Czworkę dzieci urodziłam.

Doktora Sulickiego widywała później wielokrotnie. - No bo przecież mieszkał niedaleko. A gdy dzisiaj przechodzi 10 Maja, zawsze go wspominam, czule, z wdzięcznością.

Dieciarnia na środku jezdni bawiła się razem

Gdy wracam na 10 Maja, spotykam jeszcze Eugenię Rudkiewicz, mieszka pod numerem jedenastym. Też pamięta dawne czasy, dawnych sąsiadów, żyje w tym samym domu od ponad 50 lat.

Wita mnie w progu. Zaprasza do środka.

- Z roku na rok coraz gorzej z pamięcią. Ale dobre rzeczy pamiętam. Na przykład to, jak się tu, na 10 Maja sprowadziłam. Bo to była dobra decyzja, żeby tu zamieszkać, wśród dobrych ludzi.

Pani Eugenia przyjechała na Dolny Śląsk tuż po wojnie, z Tarnopolskiego, z Kresów. Ale nie od razu do Głogowa. Najpierw zamieszkała w pobliżu Rudnej.

Zaczyna snuć opowieść: - Mąż pracował w terenie, ja na miejscu - w Rudnej. W skupie żywcą pracę dostałam. Dobrą. A męża tak poznałam, że siedziałam przy biurku, przy oknie, a on na dachu pracował. I mnie zaczęła. Małymi kamykami we mnie rzu-



Bogusia (na zdjęciu po prawej) jest naszą sąsiadką od niedawna. Ze 12 lat. Ale to ona wymyśliła święto „Imieniny ulicy 10 Maja”, ona nas integruje. Cudowna sąsiadka – mówi Andrzej Ruebenbauer

cał. Żeby uwagę zwrócić. No i zwrócił - uśmiecha się kobieta.

- „Danka” na mnie wołali, choć wpisane w papierach mam „Eugenia”. Mąż jeździł do pracy, a to do Legnicy, a to do Polkowic. I co rusz mu jakieś mieszkanie służbowe proponowali, a ja się z tej Rudnej ruszać nie chciałam. Ale, gdy kolejne mieszkanie, na 10 Maja właśnie można było kupić, najpierw je zobaczyła moja mama. Zachwyciła się tym miejscem i powiedziała: „Kupujcie”. I tak tu jestem tyle lat. I nie żałuję przeprowadzki - wspomina.

W domu, w którym mieszka do dzisiaj, wprowadziła się w latach siedemdziesiątych.

- Dzieci było tu mnóstwo, a samochodów mało, więc dzieciarnia na środku jezdni się bawiła razem. Przy dzieciach każdy każdemu pomagał, w opiece. Ja w szpitalu pracowałam, mąż był elektrykiem. Trójka dzieci, w ogródku warzywa, owoce no i świnka, i kury - opowiada.

- I wie pan, cieszy mnie to, że czasy się zmieniają, a ludzie się nie zmieniają. Dzisiaj też, nawet bardziej, bo dzieci daleko, na sąsiadów liczyć mogę. O, niby błaża rzecz, a jednak ważna. Dzwonek do drzwi mi się zepsuł. Sąsiad przyszedł, naprawił, grosza nie wziął. Za „dziękuję” - opowiada pani Eugenia i dorzuca:

- Mówi się, że czasy niebezpieczne, że ludziom ufać nie należy. Ludziom może i nie, ale sąsiadowi? - uśmiecha. - Sąsiedzi nawet klucz mają od mojego domu, tak na wszelki wypadek. Gdybym zasłała.

Góra z górą się nie zejdzie, ale sąsiad z sąsiadem

Państwo Stanisława i Piotr Kachnowicz mieszkają pod numerem szóstym. Sprowadzili się tu 20 lat temu, do mieszkania na parterze. Wcześniej mieszkali m.in. w czteropiętrowym bloku, też w Głogowie, przy ul. Obrońców Pokoju.

Pan Kachnowicz: - Jak trzeba z mechaniką coś w aucie pomóc, to sąsiad zza płotu nigdy nie odmawia. Jak to mówią: w rodzinie dobrze mieć księdza, lekarza i mechanika samochodowego. My tego ostatniego mamy za sąsiada - uśmiecha się.

- Ja jestem urodzony na wsi. Cenię sobie spokój, a mieszkając na tej ulicy spokój jest. Okno można otworzyć, poodychać swobodnie.

Gdy słucham ich opowieści, wracają wspomnienia. Moje wspomnienie o sąsiadach z dzieciństwa. Bo przecież państwo Kachnowiczowie byli moimi sąsiadami. Dwa piętra niżej, kiedy jako mały Robercik (ponad cztery dekady temu) mieszkalem w Głogowie, w bloku z wielkiej płyty, właśnie przy Obrońców Pokoju.

- A co u rodziców?
- A państwo mieli dwóch synów.
- A jak tam siostra?
- A co słyhać u dawnych sąsiadów? Macie z nimi kontakt?

Opowieści o rodzinie, sąsiadach z bloku przy Obrońców, przeplatają się jedna z drugą, kto na którym piętrze mieszkał, co u kogo słyhać.

Sąsiadów się nie zapomina. A spotkać ich po latach to jak cud.

WZROST INTENSYWNOŚCI SĄSIEDZKICH WIĘZI TO EFEKT UBOCZNY PANDEMII COVID-19?

Genialna poetka Agnieszka Osiecka pisała przed laty: „Jak dobrze mieć sąsiada/Jak dobrze mieć sąsiada/On wiosną się uśmiechnie/Jesienią zagada”. Sielankowo jest w tekście piosenki Osieckiej. A jak wyglądają relacje międzysąsiedzkie w Polsce w ostatnich latach?

Odpowiedź mogą przynieść badania „Relacje sąsiedzkie” przeprowadzone przez Centrum Badań Opinii Społecznej (CBOS), a opublikowane w styczniu 2025 roku.

- Odkąd prowadzimy badanie więzi społecznych w miejscu zamieszkania, możemy obserwować, że relacje sąsiedzkie o charakterze czysto grzecznościowym i konwencjonalnym stają się stopniowo (zwłaszcza w ostatnim siedmioletniu) coraz mniej powszechne. W ciągu całego analizowanego okresu niespełna trzydziestu lat obserwujemy także minimalne, ale jednak dość systematyczne, zmniejszanie się zakresu sąsiedzkiego współdziałania o charakterze pomocowym, polegającego na wyświadczeniu sobie drobnych przysług, jak np. pożyczanie sobie czegoś, pilnowanie domu, pomoc w opiece nad dziećmi czy odbieranie przesyłek. Być może to ostatnie zjawisko świadczy o wzroście dostępności i jakości profesjonalnych usług wszelkiego rodzaju, co nie wymusza już konieczności proszenia sąsiadów o tego typu pomoc - informuje CBOS.

Natomiast dużo częstsze w relacjach z sąsiadami, niż były rejestrowane przez badaczy kiedykolwiek wcześniej, są dzisiaj kontakty o charakterze towarzyskim - wzajemne odwiedzanie się, bywanie u siebie na uroczystościach rodzinnych czy innych spotkaniach.

- W porównaniu z 2017 rokiem odsetek badanych, którzy utrzymują tego typu zażyłe kontakty z sąsiadami, wzrósł aż o 20 punktów procentowych. Tę tendencję wzrostową obserwujemy również w dłuższym okresie - jeśli za punkt odniesienia przyjąć rok 1995, to odsetek tego typu relacji zwiększył się o 14 punktów procentowych - czytamy w raporcie Centrum Badań Opinii Społecznej.

Od roku 2008 na podobnym poziomie utrzymuje się liczba sąsiedzkich konfliktów.

Polacy deklarują, że konflikty w najbliższym sąsiedztwie zdarzają się tylko nielicznym spośród nich, co jedenasty (9%) z badanych przyznał, że jest skonfliktowany z sąsiadami. W większości przypadków są to spory czy animozje ze stosunkowo niewielką grupą (od jednego do pięciu sąsiadów - 7%). Tylko zupełnie nieliczni (1%) są skonfliktowani i żyją jak przysłowiowy pies z kotem z większością sąsiadów.

- Mimo spadku niewielkiego znaczenia samopomocowych usług sąsiedzkich, ogólnie rzecz biorąc w ciągu ostatnich siedmiu lat zdecydowanie zwiększył się wcześniej dość stabilny odsetek badanych utrzymujących bliskie relacje z sąsiadami, zarówno te o charakterze towarzyskim, jak i pomocowym. O ile w okresie 2008-2017 odsetek ten nie przekraczał jednej trzeciej deklaracji, to obecnie sięga prawie połowy wskazań. Z drugiej strony wyraźnie zmniejszyła się liczba badanych utrzymujących tylko jednego typu kontakty z sąsiadami, natomiast nie zmienił się odsetek respondentów nieutrzymujących żadnych bliższych z nimi kontaktów. Tak znaczący wzrost intensywności sąsiedzkich więzi w ostatnich latach można interpretować jako efekt uboczny pandemii COVID-19 i okresu społecznej izolacji, która siłą rzeczy skazywała nas na współdziałanie z najbliższymi sąsiadami. Zadzierzgnięte wówczas więzi najwyraźniej utrzymują się do dziś - podsumowuje CBOS w swoich najnowszych badaniach.

KIEDY SUTANNA PRZESTAJE PASOWAĆ DO CIAŁA

Kiedyś księża rzucali sutannę w ciszy i wielkiej tajemnicy. Dziś coraz częściej robią to publicznie, liczba odejść rośnie, a ze stanu kapłańskiego odchodzą ludzie powszechnie znani. Najnowszym przykładem jest dominikanin ojciec Wojciech Jędrzejewski.

Anna Gronczewska, Matylda Witkowska

Ojciec Wojciech Jędrzejewski był znanym w Polsce dominikaninem, dobrym kaznodzieją. Urodził się w 1968 roku. Pochodzi z Kamienia Pomorskiego, gdzie skończył technikum gastronomiczne.

- Miałem już gotowy plan na życie: najpierw praca w kuchni na promie do Szwecji, potem otwarcie dochodowej smażalni ryb nad morzem - opowiadał nam przed laty. - Jednak przed maturą zdecydowałem, że chcę być kaznodzieją.

Do zakonu dominikanów wstąpił w 1988 roku, sześć lat później przyjął święcenia kapłańskie. Przez wiele lat posługiwał w Warszawie, gdzie był duszpasterzem młodzieży. Potem wyjechał do Łodzi, został przeorem tworzącego się ośrodka dominikańskiego przy ul. Zielonej. Tu był też duszpasterzem akademickim. Był jednym z najpopularniejszych kaznodziejów działającego w Łodzi Dominikańskiego Ośrodka Kaznodziejskiego. Udzielał się w mediach katolickich. Prowadził popularny przed laty portal „Mateusz”. Współpracował z Radiem Plus, można było go posłuchać na kanale Religia.tv. Współpracował między innymi z „Tygodnikiem Powszechnym”, „Więzią”. Napisał kilka książek „Ewangeliarz dominikański” czy „Fascynujące zaproszenie”.

W telewizji internetowej Boska.tv prowadził program „Boska uczta”, gdzie gotował różne potrawy, które oceniali znani kucharze.

- Kościół podobny jest do zielonego ogórka: żeby dostrzec jego zalety, trzeba najpierw przebić się przez skórkę - tłumaczy dominikanin.

Zakon nie bierze odpowiedzialności

Dlatego informacje, które pojawiły się kilka dni temu, wywołały wielkie zaskoczenie. Zakon dominikanów wydał w sprawie ojca Wojciecha Jędrzejewskiego komunikat.

- Informuję, że ojciec Wojciech Jędrzejewski OP postanowił zwrócić się do Stolicy Apostolskiej z prośbą o zgodę na przeniesienie do stanu świeckiego i możliwość opuszczenia zakonu - napisał w nim Szymon Popławski OP, socjusz prowincjała dominikanów. - Prośba została przyjęta przez o. prowincjała do dalszego procedowania. Ojciec Wojciech Jędrzejewski podjął również decyzję o opuszczeniu klasztoru dotychczasowego zamieszkania. Przypomnę, że od 1 października 2024 r. działalność publiczną o. Wojciecha Jędrzejewskiego była zawieszona w związku prowadzonymi czynnościami kanonicznymi. Po podjęciu decyzji o wystąpieniu z zakonu i stanu duchownego oraz wyprowadzeniu się z klasztoru, zakon nie

bierze odpowiedzialności za jakiegokolwiek działania o. Wojciecha Jędrzejewskiego.

Od razu pojawiły się różne spekulacje dotyczące powodów takiej decyzji znanego dominikanina. Nie chciał się na ten temat wypowiadać Tomasz Terlikowski, popularny publicysta katolicki. Zamieścił jednak komentarz na ten temat na Facebooku.

- Szanuję też prawo do milczenia zarówno zakonu, jak i Wojciecha Jędrzejewskiego - napisał Tomasz Terlikowski. - Osobiste wybory, osobiste decyzje, jeśli nie łączą się z tuszowaniem przestępstw lub przestępstwami, powinny zostać uszanowane. Były już dominikanin może, jeśli będzie chciał, o nich opowiedzieć, a jeśli pojawią się nowe, rzucające odmiennie światło na tę decyzję okoliczności, to być może powinni się do tego odnieść dominikanie. Jeśli jednak nie mamy w tej sprawie do czynienia z przestępstwem, a ze spłotem wydarzeń, może błędów, może grzechów, to dojrzałość wymaga, by pozwolić ludziom o tym milczeć. I nie, nie ma tu podobieństwa do innej medialnej sprawy, innego zakonika. (...) Trudno też uciec od wrażenia, że ta - przeciętnie pierwsza, i z pewnością nie ostatnia sprawa - przypomina nam z całą mocą, że duchowni są ludźmi, że nie na nich mamy budować naszą wiarę, i że ani charyzmatyczność, ani zaan-

gażowanie, ani nawet fakt, że pomagało się wielu osobom, nie chroni przed błędami. Jeśli mamy trwać w Kościele, to wiązanie emocji z ludźmi zawsze jest skazane na porażkę. Tym zaś, którzy odchodzą - na skutek rozmaitych błędów (nie zawsze swoich), spłotów okoliczności czy zmian - trzeba (jeśli tego chcą) dyskretnie towarzyszyć, wspierać, a także pozwolić na nowe życie. Wyjątkiem jest sytuacja, w której wydarzyła się nierozliczona krzywda, gdy tuszuje się krzywdę i pozwala ją czynić nadal. To jest ten wyjątek, który sprawia, że nie wolno milczeć.

Osobista decyzja i łamanie ślubów czystości

Tymczasem po kilku dniach sam Wojciech Jędrzejewski postanowił wyjaśnić powód swej decyzji.

- Odejście z zakonu i ze stanu duchownego jest moją osobistą decyzją - napisał w oświadczeniu opublikowanym na portalu „Więzi”. - Decyzja ta wiąże się z łamaniem zakonnych ślubów czystości, do której się zobowiązałem. Przepraszam tych, których zawiodłem, i proszę o modlitwę. Katolicyzm był i pozostaje przestrzenią mojego przeżywania Boga.

Wojciech Jędrzejewski jednocześnie zaznaczył, że nie będzie już komentował tej sprawy.



Dominikanin nie jest pierwszym i pewnie ostatnim zakonikiem czy księdzem diecezjalnym, który żegna się ze stanem duchownym. Ostatnie dane Instytutu Statystyki Kościoła Katolickiego dotyczące takich spraw pochodzą z 2017 roku. Wtedy w Polsce kapłaństwo porzuciło 73 księży. Natomiast od 2000 do 2017 roku sutannę w Polsce rzucało rocznie przeciętnie 56 księży diecezjalnych.

W ostatnim czasie takich przypadków jest coraz więcej. Na przykład w wakacje 2023 roku w archidiecezji poznańskiej z kapłaństwa odeszło pięciu księży. Ówczesny metropolita poznański abp Stanisław Gądecki wystosował w tej sprawie specjalny list do księży, w którym wzywał do nawrócenia. Z kapłaństwa odchodzą też księża pracujący w archidiecezji łódzkiej, choć te sprawy nie są nagłaśniane. Od kilku lat kapłanem nie jest już na przykład były wicerektor łódzkiego seminarium. Otrzymał od papieża zwolnienie ze ślubów czystości i mógł wziąć ślub kościelny.

Jedno z pierwszych głośnych odejść w polskim Kościele wykonał jezuita Stanisław Obirek. W 2005 roku ogłosił, że po 29 latach opuszcza zakon. Jak twierdził później, narastały w nim wątpliwości dogmatyczne, ale bezpośrednią przyczyną odejścia była krytyka Jana Pawła II na łamach belgijskiego dziennika „Le Soir”, w którym porównał zmarłego właśnie polskiego papieża do... „proboszcza wiejskiej parafii”. Został za to ukarany zakazem wykładów i kontaktów z mediami, po czym wystąpił z zakonu. Jako osoba świecka Obirek jest aktywnym publicystą i naukowcem, profesorem na Uniwersytecie Warszawskim. Napisał wiele książek, w tym najbardziej znaną „Gomórę” o władzy, strachu i pieniądzu w polskim Kościele. Ożenił się.

W roku 2007 stan duchowny opuścił dominikanin Tadeusz Bartoś, który też w życiu świeckim zajął się publicystyką i pracą naukową na Uniwersytecie Ekonomicznym

JEDNO Z PIERWSZYCH GŁOŚNYCH ODEJŚĆ W POLSKIM KOŚCIELE WYKONAŁ JEZUITA STANISŁAW OBIREK. W 2005 ROKU OGŁOSIŁ, ŻE PO 29 LATACH OPUSZCZA ZAKON



Od 2000 do 2017 roku
sutannę w Polsce rzucali
rocznie przeciętnie 56
księży diecezjalnych

FOT. PIOTR KRZYŻANOWSKI/ARCHIWUM PPG

w Krakowie. Niemal jednocześnie z nim sutannę rzucił ks. Tomasz Węclawski, wcześniejszy rektor Arcybiskupiego Seminarium Duchownego w Poznaniu i dziekan Wydziału Teologicznego Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Węclawski przyczynił się do nagłośnienia sprawy molestowania kleryków przez abp. Juliusza Paetza, przez co spotkał się z szykanami. W roku 2007 opuścił stan duchowny, a rok później dokonał apostazji. Odnalazł się w życiu pozakościelnym, na poznańskim uniwersytecie zaczął pracować jako wykładowca świecki. Opinia publiczna zapamiętała jego symboliczną zmianę nazwiska - Węclawski ożenił się i przyjął nazwisko panieńskie żony. Teraz nazywa się Tomasz Polak.

„Przestał się bać zwyczajnej miłości”

Wspieranie ofiar księży skończyło się też odejściem z Kościoła katolickiego dominikanina Marcina Mogielskiego. Zakonnik wspierał m.in. poszkodowanych przez swojego współbrata Pawła M., który ze studenckiego duszpasterstwa stworzył coś na kształt sekty, w której stosował „modlitwę nagością” i kary cielesne. Mogielski walczył o prawdę, ale nie wszystkim się ta działalność podobała. W konsekwencji dwa lata temu w Wielką Sobotę ogłosił, że od-

chodzi z Kościoła katolickiego i przechodzi do protestantów. Dziś wspiera osoby w kryzysie w nurcie radykalnego wybaczenia.

Wspieraniem psychologicznym zajął się też były przeor klasztoru dominikanów w Gdańsku Jacek Krzysztofowicz. Duchowny spędził w biało-czarnym habicie ćwierć wieku, przyciągał na swoje wieczorne msze św. tłumy wiernych, po czym 12 lat temu nagle ogłosił, że odchodzi, bo „przestał się bać zwyczajnej miłości”.

Początkiem końca jego zakonnej drogi była książka o przestrzegających absurdalnie surowych reguł mnichach z Indii. Dominikanin zrozumiał, że też żyje w podobny sposób i przestał wierzyć w sens aż takich wyrzeczeń. Zakochał się, ożenił i przeprowadził do Łodzi, gdzie pracuje jako psychoterapeuta. Wspiera rodziców dzieci autystycznych i nie udziela się publicznie.

Dziewięć lat temu wierni z Łodzi śledzili odejście innego dominikanina - ojca Adama Wyszyńskiego. Młody zakonnik prowadził duszpasterstwo akademickie, doświadczył jednak nagłych i poważnych problemów zdrowotnych, co zmieniło jego spojrzenie na zakon. Potem w programie Zbigniewa Stonogi wyznał, jak od jednego z braci miał otrzymać niedwuznaczną propozy-

cję, a przez drugiego... został uderzonym patelnią w pośladek. Zakon wydał lakoniczne oświadczenie, natomiast ojciec Wyszyński zaprzyjaźnił się z księdzem Jackiem Międlarem.

Tam, gdzie sutanna zahacza o politykę

Połączyła ich sytuacja życiowa. Należący do zgromadzenia Księża Misjonarzy św. Wincentego a Paulo Jacek Międlar zdobył wątpliwą sławę z powodu swoich wystąpień nacionalistycznych i homofobicznych. W końcu opuścił swoje zgromadzenie, ale nie zrezygnował z działalności publicznej. Brał udział w kontrowersyjnych marszach narodowców we Wrocławiu, miał też kilka procesów w związku ze swoimi wypowiedziami. Poglądów nie zmienił. Działa publicznie, napisał kilka książek, w tym dzieło pt. „Moja walka o prawdę. Wyznania byłego księdza”.

Polityka nie pomogła też w karierze innego księdza - Tymoteusza Szydło. Święcenia miał w czasie, gdy jego matka była szefową rządu. Jego pierwsze odprawiane msze św. stały się wydarzeniami medialnymi, ale w młodym duchownym narastał kryzys wiary. Ostatecznie wystąpił o przeniesienie do stanu świeckiego. Wyraził przy tym żal, że stał się ofiarą poszukiwaczy sensacji, przyznając jednak, że niepotrzebnie dał się skojarzyć z jedną opcją polityczną.

To tylko kilka przykładów głośnych odejść z kapłaństwa. Ale niektórzy zrzucają sutannę w ciszy.

Odejścia i powroty

Ta historia wydarzyła się przed laty. Kazimierz był księdzem z ponad 10-letnim stażem, kiedy poznał Iwonę. Dobrze się im rozmawiało, z czasem zaprosił ją do kawiarni. Ona wiedziała, że jest księdzem. Przez kilka miesięcy ukrywali swój związek. Nagle okazało się, że Iwona jest w ciąży. Na Kazimierza spadło to jak grom z jasnego nieba. Postanowił jednak nie zostawiać Iwony i ich nienarodzonego jeszcze dziecka. Odszedł z kapłaństwa. Zamieszkali razem. Na świat przyszła ich córka Kasia. Kazimierz nie widział poza nią świata. Ale nie mógł też zapomnieć o kapłaństwie. Został księdzem polskokatolickim. W tym Kościele kapłani mogą mieć żony. Odprawiał msze święte, a po nich wracał do swojej rodziny. Kasia miała 5 lat, gdy wyjechała z rodzicami na wakacje nad morze. Tu doszło do nieszcześćcia. Wystarczyła chwila nieuwagi i dziewczynkę pochłonęły fale Bałtyku.

- To moja wina, moja wina! - powtarzał Kazimierz. Nie mógł pogodzić z tym, co się

KS. ISAKOWICZ-ZALESKI ZAUWAŻAŁ, ŻE W OSTATNICH LATACH SUTANNĘ ZRZUCAJĄ NAJCZĘŚCIEJ MŁODZI KSIĘŻA MAJĄCY PO KILKA LAT KAPŁAŃSTWA

stało. Bardzo pomogli mu wtedy koledzy, z którymi uczył się w rzymskokatolickim seminarium. Kazimierz postanowił wrócić na łono Kościoła. Procedury trwały długo, ale powrócił do kapłaństwa. Nie do diecezji, w której pracował. Skierowano go do pracy na zachodzie Polski. Został tam nawet proboszczem.

Kiedy parafianka za bardzo się spodoba

Jednak każdy przypadek porzucenia kapłaństwa jest inny. Zwykle księża nie robią tego z dnia na dzień. Rozmawia z nimi biskup diecezjalny. Często zanim zdecydują się na ostateczny krok, idą na urlop. Na rok, dwa, a nawet trzy lata. Może być spowodowany problemami zdrowotnymi, ale czasem taki ksiądz potrzebuje czasu, by przemyśleć pewne sprawy. Nadchodzi kryzys powołania i musi sobie z tym poradzić.

Józef już dawno nie żyje. Pochodził z bardzo religijnej rodziny. Urodził się na Wileńszczyźnie. Był ministrantem. Codziennie biegał na msze święte. Bardzo pobożna mama nie musiała go na to namawiać. Józef zdał maturę i postanowił wstąpić do zakonu jezuitów. Mimo że wybuchła wojna, nie zrezygnował ze swoich planów. Przyjął śluby zakonne, święcenia kapłańskie. Po wojnie jako repatriant razem z mamą przyjechał do Polski. Jego Wilno było już częścią Związku Radzieckiego. Formalnie dalej był jezuitą, ale z czasem został księdzem diecezjalnym. Pracował w diecezji wrocławskiej. Kiedyś przypadkiem spotkał Krysię, dziewczynę, którą przed laty poznał w Wilnie. Zainteresował się nią, bo pięknie śpiewała, on grał na skrzypcach...Krysia mieszkała z rodzicami w Łodzi. Miała 26 lat, była kilka lat młodsza od Józefa.

- Zakochałem się w niej, w jej głosie - zwierzał się potem Józef. - Nie mogłem przestać o niej myśleć, ale też wiedziałem, że bardzo chciałem być księdzem. Kochałem też Pana Boga.

Józefa dręczyły wyrzuty sumienia. Coraz częściej jednak spotykał się z Krysią. Wiedział, że robi źle, jednak nie mógł przestać o niej myśleć. Scenariusz znów zaczął się powtarzać. Okazało się, Krysia jest w ciąży... Józef wiedział już jedno, musi odejść z kapłaństwa. Był to przełom lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Wzięli z Krysią ślub cywilny,

urodził się im syn. Kazimierz zaczął starać się w Watykanie o zwolnienie od celibatu. Takiego zwolnienia może dokonać tylko papież. Józef w końcu je uzyskał. Józef mógł przyjmować komunie świętą, a przede wszystkim wziąć ślub kościelny z Krysią. Udzielił im go w swojej prywatnej kaplicy biskup Michał Klepacz, ówczesny ordynariusz diecezji łódzkiej. Józef uczył muzyki w łódzkich szkołach, Krystyna też była nauczycielką.

- Józef codziennie przed pracą chodził do kościoła na mszę i przyjmował komunie świętą - zapewnia jego dobra znajoma. - To był naprawdę bardzo dobry człowiek. Nie wolno zapominać, że nie ma zwolnienia ze święceń kapłańskich. Są one ważne do końca życia wyświęconego kapłana. Nie może on jednak sprawować sakramentów świętych.

Józef zmarł nagle. Nie wiedział, że jego synowa jest w ciąży. Kilka miesięcy po jego śmierci na świat przyszedł Michał. Chłopiec urodził się ze zniekształconą nogą...

Sutannę zrzucają młodzi księża

Nieżyjący już ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski, współzałożyciel i prezes Fundacji im. Brata Alberta twierdził, że przyczyną odejść z kapłaństwa jest wiele.

- Kiedyś zupełnie inaczej wyglądało przygotowanie do kapłaństwa - wyjaśniał ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski. - Ja studiowałem w krakowskim seminarium w latach siedemdziesiątych. Wtedy wielu kleryków odbywało służbę wojskową. Po jej odbyciu część nie wracała do seminarium. To już był jeden z elementów selekcji. Poza tym w seminarium mieszkaliśmy w spartańskich warunkach. Spaliśmy na piętroch łózkach. Były szykany ze strony władz, inwigilacja. Wyświęceni księża byli zahartowani.

Ks. Isakowicz-Zaleski zauważał, że w ostatnich latach sutannę zrzucają najczęściej młodzi księża mający po kilka lat kapłaństwa.

- To bardzo niepokojące - martwił się ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski. - Pojawia się pierwszy poważny problem i odchodzą. Moim zdaniem to nie sprawa celibatu, choć na pewno dla niektórych jest on problemem. Nie są przygotowani do zderzenia z rzeczywistością. Przez sześć lat są trzymani pod kłosem. Trafiają

na parafie i stykają się z problemami. Zaczynają uczyć w szkole religii, co dziś jest bardzo trudne. Nie każdy ksiądz ma predyspozycje, by być nauczycielem. Przy pierwszych konfliktach, problemach, młody ksiądz decyduje się odejść z kapłaństwa. Gdy kończyłem seminarium, wyświęcono ponad 50 księży. Z kapłaństwa odeszło dwóch kolegów.

Jacek sutannę rzucił w latach osiemdziesiątych. Pochodzi z Łodzi. Miał bardzo religijną mamę. Bardzo chciała, by jej syn został księdzem. Jacek miał kilkanaście lat, gdy posłała go do niższego seminarium ojców franciszkanów. Ale Jacek nie zdawał tam matury. Postanowił odejść z niższego seminarium. Do egzaminu dojrzałości przystąpił w świeckim liceum. Dalej jednak, przy wielkiej aprobachie mamy, chciał być księdzem. Wstąpił więc do paulinów, ale po jakimś czasie przeniósł się do paulistów. W końcu stwierdził, że chce być księdzem diecezjalnym. Starał się o przyjęcie do Wyższego Seminarium Duchownego diecezji łódzkiej. Ale odmówiono mu. Wtedy próbował szczęścia w seminarium częstochowskim. Tam go przyjęto. Został wyświęcony na księdza. Skierowano go do parafii znajdującej się niedaleko Piotrkowa Trybunalskiego, ale na terenie diecezji częstochowskiej. Grał pięknie na gitarze. Ludzie go polubili. Ale najbardziej spodobał się jednej z parafianek. Postanowił więc odejść z kapłaństwa. Potem w miejscowym Urzędzie Stanu Cywilnego wziął ślub cywilny. Wywołało to zgorzienie części tamtejszej społeczności. Jacek dalej chciał być jednak księdzem, więc przeszedł do Kościoła polskokatolickiego. Pracował najpierw w Polsce, dziś z rodziną mieszka w Stanach Zjednoczonych. Dalej jest księdzem polskokatolickim.

Kiedyś księża odchodzili z kapłaństwa cicho, w tajemnicy. Teraz takie decyzje bywają sprawami medialnymi. Ks. Michał Macherzyński, proboszcz w parafii pw. Matki Bożej Królowej Aniołów w Tychach-Wilkowicach podczas Bożego Ciała ogłosił, że zrzuca sutannę. Wierni przyjęli to oklaskami.

- Myślę, że te głośne odejścia są rodzajem usprawiedliwienia, pokazania, że ja jestem dobry, a Kościół zły - uważał ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski. - Znam księży, którzy odeszli z kapłaństwa, nie robili z tego show, znaleźli sobie potem sensowne zajęcie. Prowadzę fundację i byłem księża, zakonnicą, siostry zakonne angażują się w jej prace jako wolontariusze. Robią dalej coś dobrego, odnajdują się w innej pracy. Ale znam takich, którzy nie odnajdują się w nowej rzeczywistości.

WOJCIECH SMARZOWSKI: WIERZĘ W TO, ŻE FILM MOŻE COŚ W NAS ZMIEŃCIĆ, BO INACZEJ NIE WYCIĄGAŁBYM KAMERY Z SAMOCHODU

Rozmowa z Wojciechem Smarzowskim, reżyserem filmowym i teatralnym, scenarzystą oraz operatorem filmowym. 7 listopada do kin w całym kraju wejdzie najnowszy film autorstwa artysty, zatytułowany „Dom dobry”, poświęcony problemowi przemocy domowej. W produkcji główne role zagraли Agata Turkot, absolwentka Szkoły Filmowej w Łodzi oraz Tomasz Schuchardt

Dariusz Pawłowski

Trudno zrozumieć, dlaczego pana nowy film, „Dom dobry”, nie okazał się dość dobry dla jurorów Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni, ale można pominąć tego tytułu w werdykcie potraktować symbolicznie, jako obraz pana relacji z tak zwanym środowiskiem. Czy postawa artysty osobnego, stojącego nieco obok rozmaitych rozgrywek i działań promocyjnych, to wybór czy konieczność?

Startuję w indywidualnej dyscyplinie i nie wiem, jak postępują inni reżyserzy. Ja robię swoje, i tyle. I w taki sposób, jeżeli pan pozwoli, wolałbym zamknąć odpowiedź na to pytanie. Ale dziękuję za takie ustawienie mojej sytuacji, jakie zasugerował pan w pytaniu, bo jest mi ono bliskie.

Czy do takiej autonomiczności właśnie przygotowywano w Łódzkiej Szkole Filmowej, którą ukończył pan w 1990 roku, co warto podkreślić, na Wydziale Operatorskim? Do Szkoły Filmowej w Łodzi udało mi się dostać dopiero za trzecim razem, na wspomniany Wydział Operatorski. Ja chyba wtedy kombinowałem w ten sposób, że na operatorskim było dziesięć miejsc, a na reżyserii tylko osiem, no to łatwiej się było dostać na operatorski, prawda? Dobrze, trochę żartuję, rzecz jasna... Po pierwszym roku już wiedziałem, że się nie nadaję na operatora, bo w tej materii trzeba podążać za technologią i operator musi czekać na tekst, na to, czy wybierze go

reżyser. A mnie już zaczęło interesować samodzielne robienie filmów. Na trzecim roku napisałem scenariusz „Małżowiny”, tworzyliśmy też wtedy z Łukaszem Kośmickim scenariusz „Domu złego” – on jeszcze wtedy wyglądał zupełnie inaczej niż to, co potem oglądaliśmy na ekranie. To wszystko sprawiło, że wiedziałem już, że chcę robić filmy jako reżyser. To była długa droga, ale w końcu się udało.

Czy wiedza zdobyta na Wydziale Operatorskim pomogła w pracy reżysera?

Zaraz po skończeniu Szkoły Filmowej mówiłem, że dała mi ona dwie rzeczy: możliwość oglądania filmów w kinie, bo oglądałem nierzadko po dwa-trzy filmy dziennie oraz kort tenisowy, którego teraz w Szkole już nie ma. Jednak z perspektywy czasu wiem, że ta uczelnia dała mi więcej. Przede wszystkim mogłem się kontaktować z ludźmi, którzy podobnie jak ja postrzegają świat. A z wykładów, które początkowo mi gdzieś uciekły, pozostało dużo rozmów o znaczeniach, a na nich mi w kinie zależy najbardziej.

W okresie studiów spędził pan w Łodzi sześć lat. Jak postrzegał pan wtedy nasze miasto?

Trudno było zostać jego fanem. Mieszkałem przy ulicy Piotrkowskiej, przy Parku Słedzia, na Dąbrowie i na ulicy Radwańskiej. Lata spędzone w Łodzi spowodowały, że jestem zawodowo w tym miejscu, w którym jestem. Chodzi

nie tylko o Szkołę Filmową, ale jeszcze bardziej o ludzi, z którymi spotkałem się i w uczelni, i w kinie Cytryna, czy w Siódmkach. Oni mieli tak samo narąbane w głowie jak ja i podobnie jak ja postrzegali świat. Później, nawet jak bywałem w Łodzi, to pracowałem, nie miałem możliwości przyglądania się miastu. Dopiero niedawno, odsłaniając swoją gwiazdę w Łódzkiej Alei Gwiazd na Piotrkowskiej, mogłem dostrzec, jak bardzo od tamtego czasu Łódź się zmieniła.

Już pana pierwszy kinowy film, „Wesele” z 2004 roku, wywołał wiele emocji, a kolejny, „Dom zły” z roku 2009, ustanowił pana pozycję jednego z najważniejszych i najsilniej oddziałujących współczesnych polskich reżyserów. Powiedział pan jednak przed chwilą, że ten scenariusz powstał jeszcze na studiach. Co go zainspirowało?

Z Łukaszem Kośmickim znaleźliśmy artykuł, chyba w piśmie „Detektyw”, opisujący historię rodziców, którzy przez pomyłkę zabili własne dziecko. Ja jeszcze nie wiedziałem o sztuce „Niespodzianka” Karola Huberta Rostworowskiego, ale jak kręciłem „Małżowinę”, to nasz scenariusz przeczytał Marcin Świetlicki i wskazał nam właśnie na ten dramat z okresu międzywojennego. Udałem się do biblioteki i zobaczyłem, że rzeczywiście, ten element historii opisanej w gazecie pochodzi z „Niespodzianki”. Ale uwaga, kiedy byłem z „Domem złym”

w Łowiczu, okazało się, że chyba w 1880 roku niejaki Tarczyński napisał tę samą historię jeszcze przed Rostworowskim. Nie wiem więc komu tak naprawdę ten pomysł ukradliśmy. Próbowaliśmy też odnaleźć autora tekstu w „Detektywie”, ale nie udało się. I ów mord dokonany przez rodziców przez pomyłkę na własnym dziecku był punktem wyjścia scenariusza, nie mieliśmy jeszcze wątku współczesnego. Potem długo nad tym tekstem pracowaliśmy, wiele zmienialiśmy, jednocześnie pisaliśmy scenariusz do filmu „Sezon na leszcza”, który zrealizował Bogusław Linda. W pewnym momencie do „Domu złego” dodałem sekwencje rozgrywane się w okresie wczesnego Jaruzelskiego. Miałem dużo czasu, żeby nad tym tekstem myśleć, a moją szkołą reżyserską było pierwsze „Wesele”.

Czego się pan wtedy nauczył?

Pisałem scenariusz, bardzo się starałem, zrobiłem to najlepiej, jak potrafiłem, ale wtedy jeszcze nie wiedziałem, że praca nie zastąpi talentu. Producenti też nie do końca wiedzieli, czy ten tekst jest dobry, czy nie. Zaaranżowali spotkanie z Kazimierzem Kutzem, który był wtedy w Sejmie. Kutz podszedł do stolika, przy którym siedzieliśmy, powiedział o scenariuszu: „Świetny, kręcicie”. I poszedł. Wiedzieliśmy więc, że mamy niezły tekst, ale kiedy weszliśmy w zdjęcia, okazało się, że połowę kwestii, które ja tak wypracowałem, aktorzy mogą

po prostu zagrać, zamiast je wypowiadać. Później w montażu jeszcze część kwestii powyrzucaliśmy. Na początku odebrałem to tak, że jestem mało zdolny, zanim zrozumiałem, że film to robota zbiorowa. Że trzeba się otaczać ludźmi, którzy podobnie postrzegają świat i czerpać od nich. Chodzi przede wszystkim o aktorów, bo to są moje – przepraszam za słowo – narzędzia, ale też o najbliższą ekipę. I teraz, gdy to już rozumiałem, to wiem, że bardzo lubię idąc na plan, przygotowując scenę, nie wiedzieć wszystkiego. To znaczy, muszę wiedzieć, do czego zmierza historia, o czym opowiadam, jaki będzie koniec i ostatnie ujęcie. Natomiast jeżeli będę wiedział z góry wszystko, to może już powinienem przestać robić filmy. Na razie zderzam się z aktorami i każdy z nich coś dokłada do mojej historii. Czasem jest tak, że nie zgadzam się i robię po swojemu, a czasem, kiedy nie wiem, to robię proponowany wariant. I sprawdzam, co lepiej pasuje. Nagadałem się teraz... A wszystko zamyka się w tym, co już powiedziałem, że film jest robotą zbiorową.

Czy to oznacza, że każdy kolejny film robi się łatwiej, czy też to, co zrobiło się wcześniej, nie ma znaczenia przy nowym projekcie?

Za każdym razem jest inaczej. Wynika to z tematu, ale ja też się zmieniam. Na przykład ten film o miłości z małym minusem, czyli „Dom dobry”, troszkę odchorowałem. Żeby jednak było jasne – lubię robić to, co robię.

Dlaczego pan odchorował?

Robiłem już takie bardzo brutalne sceny w kinie, tylko że one były umiejscowione w czasie przeszłym, w historii. To była jakaś klamra, prawda? A teraz zrobiłem historię o tym, co się dzieje tu i teraz, za ścianą. I to było dla mnie zaskakująco bolesne, nawet, jeżeli wiedziałem, że to będzie ciężkie kino. Zacząłem od wyboru do głównej roli Agaty Turkot, z którą pracowałem przy drugim „Weselu”, z żydowską literką w tytule. Ona grała wtedy w drugim planie, ale ja wiedziałem, że chcę z nią zrobić kolejny film. I kiedy zastała mnie pandemia, zawieszony byłem pomiędzy „Weselem” z żydowską literką w tytule i „Słowianami”, których jeszcze nie zrobiłem, ale wierzę, że zrobię. W tym zawieszeniu pomyślałem sobie, że trzeba zrobić kameralne kino, którego akcja toczy się w czterech ścianach. Pojawiło się też wtedy dużo artykułów o domowej przemocy, bo ona się w pandemii nasiliła. Zacząłem czytać artykuły i książki na ten temat, spotykałem się z ofiarami prze-

mocy. Doszło w końcu do tak zwanych zdjęć próbnych i nie zapraszałem już innych aktorów niż Agata Turkot. Ooczyłem ją jednak kilkunastoma, moim zdaniem, świetnymi aktorami. Nie sprawdzałem, czy oni potrafią grać, przyglądałem się innym kwestiom. Po pierwsze, jak różna byłaby relacja na ekranie, gdyby partner był starszy, młodszy, mniej lub bardziej przystojny. Drugą sprawą było, który z aktorów dawał Agacie największe poczucie bezpieczeństwa. To też było dla mnie nowe w mojej pracy. Później, na planie, ograniczyliśmy ekipę, komunikację radiową, światło. Operatorką kamery była Ola Kamińska, najbliższej aktorów. Ja nie mnożyłem dubli, miałem w nosie, czy coś jest ostre, czy nie. Mam doświadczenie, wiem, że coś mogę wyciąć, zmontować. Próbowaliśmy zapewnić komfort aktorom, co w tym filmie było trudne. Zobaczycie na ekranie.

W jaki sposób reagowaliście na trudne sceny?

Patrzyłem w buty. Ujęcie, stop kamera i patrzyłem w buty. Nie tylko ja, bo cała ekipa też patrzyła w buty. Wszyscy byliśmy emocjonalnie bardzo związani z aktorami, bo tak naprawdę, ich to kosztowało najwięcej.

To jest ciężar, który się zabiera z planu?

No tak, ale za chwilę będę przed panem płakał albo się użalał. Lubie robić to, co robię. Wiedziałem, w co się pakuję. Czytałem na ten temat, spotykałem się z osobami, które zostały dotknięte przemocą, wysłuchałem ich historii. To było coś innego niż czytanie, kiedy patrzyłem w oczy tych ludzi i widziałem ich emocje. I wtedy wiedziałem, że ja muszę zrobić ten film.

To były osoby, które wyszły z przemocy?

Były w trakcie wychodzenia albo już wyszły z przemocy.

Czy tak mocno dotykając realizmu, trochę jak dziennikarze i robiąc takie filmy, wierzy pan jeszcze w człowieka?

Ojej, wierzę w to, że film jednak może coś zmienić, bo inaczej bym nie wyciągał kamery z auta. I czasem nie chodzi o to, że film musi być dobry. Bywa, że temat jest tak istotny, tak pokazany, że ktoś poczuje potrzebę chociażby porozmawiania z samym sobą. Oczekuję od kina poruszenia i emocji. I takie filmy chciałbym robić. Wydaje mi się, że czasem mi się to udaje.

Czy już odbyte projekcje „Domu dobrego” pokazały panu, że widz może się w tym filmie przeżyć?

Nie chcę uogólniać. Ale po projekcjach filmu na



FOT. KRZYSZTOF SZYMCAK

Wojciech Smarzowski na ulicy Piotrkowskiej w Łodzi, podczas odsłaniania gwiazdy artysty w Łódzkiej Alei Gwiazd

festiwalu Gdyni, gdzie wiadomo, wszystko się dzieje w przeciagu i ludzie się mijają, podeszło do mnie w sumie z dziesięć kobiet i opowiedziało swoje historie: kopnął mnie, kiedy byłam w szóstym miesiącu ciąży, rozstałam się z nim w walce. To znaczy, że ten film u tych osób nie tylko jakoś zarezonował, ale nie mogły być one przeciwko niemu, bo by do mnie nie podchodziły. Dostałem szybką bombę emocjonalną, ale to oznacza, że dobrze, że ten film powstał.

Czy w trakcie realizacji „Domu dobrego” miał pan gotowe sceny, które uznał za zbyt mocne i które nie weszły do filmu? Bo mogły być dla widza zanadto szokujące?
Do pewnego stopnia to się zdarzało, choć może nie chodziło o to, że to były zbyt szokujące sceny. Moja metoda realizacji polega na tym, że ja robię sceny w jednym dublu po to, żeby aktorzy wywalili emocje raz, a nie pięć razy. Wtedy ten jeden dubel jest dłuższy i potem na stole montażowym decydujemy, które fragmenty wchodzą, a które nie, by zachować płynność całości. Tylko ja miałem tę świadomość wcześniej, nie jest tak, że wpadłem na to w montażowni. Taką obrałem zasadę, tak się dogadałem z aktorami, że oni wywalą bebecchy raz, może dwa, ale nie będziemy powtarzać tego kilkanaście razy.

Jak się pracuje z młodą ekipą? Czy na planie panuje większa otwartość na pańskie sugestie, czy to raczej pan czerpie coś od młodych ludzi?
Chyba nie widzę różnicy w pracy z młodszą czy starszą ekipą, pod warunkiem że wszyscy profesjonalnie podchodzą do swoich zadań. Ja generalnie jednak w dużej mierze pracuję z ludźmi, z którymi pracowałem już wcześniej, część z nich miała może trochę inne funkcje. Znamy się więc od jakiegoś czasu, dużo ze sobą rozmawiamy. Nie oznacza to, że mamy się poklepywać po plecach, tylko po prostu sobie ufamy. Jeszcze raz podkreślę, film jest sprawą zbiorową. Jedyną zmianę jaką widzę, to ten nieciekawy fakt, że ja jestem starszy. Od młodych ludzi biorę energię, ich percepcję, postrzeganie świata. To jest dla mnie bardzo ważne, w tym zakresie zachowuję czujność. A czy ja coś im daję? Może jakieś doświadczenie, także własny punkt widzenia, przekonanie, że warto się trzymać własnej drogi. Uczciwie się ze sobą dzielimy.

Spotkał się pan z opiniami, że przemocy w pana filmach jest za dużo, że stawia pan widza pod ścianą, że pewne rzeczy powinny zostać niedopowiedziane?
Tak, ale nie można zrobić filmu dla wszystkich. Ja mam taki, a nie inny temperament filmowy, moją bazą jest realizm. Obejrzałem filmy o prze-

mocy, na przykład „Żonę policjanta”, gdzie tak naprawdę jest tylko jedna scena przemocowa i jest to świetny film. Ale ja uznałem, że to trzeba opowiedzieć na mój sposób. To dobrze, że są w kinie różne historie, różnie opowiadane filmy, widzów też mamy bardzo różnych. Każdy przepuszcza opowiadaną mu historię przez własną wrażliwość i albo w nią wchodzi, albo się odcina.

Wspomniał pan o projekcie „Słowianie”. Ma to być najdroższy film w historii polskiej kinematografii. Na jakim etapie jest ten projekt?
Szukania pieniędzy i konsultowania tekstu z historykami. Tak naprawdę nie wiadomo, gdzie był chrzest Mieszka. Czy w Gnieźnie, czy w Ostrowie Lednickim, czy w Poznaniu. Zadaję historykom bardzo praktyczne pytania. Gdzie stał warsztat tkacki, jak zbudowano most w Ostrowie Lednickim. Moją bazą jest realizm, więc muszę ten świat najbardziej wiarygodnie pokazać. Muszę wiedzieć na przykład co robili z mieczami, kiedy wchodzili do sali, gdzie było bardzo ciasno. Zakładam, że nosili miecz jak dziś krawat. Ale co się działo z tarczami, co z hełmami, gdzie była zbrojownia? Zastanawiamy się nad stanem uzębienia naszych bohaterów. Większość aktorów ma teraz szuflady tureckie, a wtedy już chyba Wikingowie śmiali się, że nie jest u nas za dobrze z zębami.

Czy jest łatwiej ze znajdowaniem funduszy, niż to było na przykład w przypadku „Wołynia”?
To jest pytanie do producentów, nie do mnie, bo ja nie jestem od funduszy. Ja się zajmuję przedstawianiem świata. A producent Wojtek Gostomczyk zajmuje się szukaniem pieniędzy. I to wszystko jest w trakcie.

Powiedział pan, że jako reżyser robi swoje. Czy to oznacza też, że krytyka w ogóle pana nie dotyka?
Po pierwszym filmie, „Weselu”, przeczytałem „Gazetę Wyborczą” i dostaliśmy tam konkretną zjebkę od dziennikarzy, których znałem. I pomyślałem sobie: po co ja mam to czytać? Jeżeli kończę film, to każdy element znam „po imieniu”. Ale jak już oddaję film widzom, to się nie cofam, nie patrzę wstecz. Nie mam mediów społecznościowych i nie czytam o sobie. Oczywiście, nie uda się nic nie wiedzieć, nie słyszeć, co ludzie mówią, ponieważ się spotykamy, rozmawiamy, każdy coś tam powie. Tylko że ja próbuję sobie to bardzo dozować.

„Słowianie”, wiadomo, duży projekt, pewnie jeszcze sporo czasu upłynie, zanim będzie go można zrobić...
O, tak.

Ale czy nosi pan w kieszeni jeszcze jakieś inne tematy? Myślę o kameralnym filmie o miłości. Akcja dzieje się

w domu starców. I jest to opowieść o eutanazji po polsku.

W jakim zakresie, pana zdaniem, zmieniliśmy się na przestrzeni lat od „Domu złego” do „Domu dobrego”? Mocniej: Jak zmieniła się Polska? Czy nowy film jest też odpowiedzią na tę zmianę?
O Polsce nie chcę mówić tak szeroko, na pewno natomiast ewoluowało samo pojęcie przemocy domowej. W „Domu złym” mamy zagadkę kryminalną w epoce późnego Gierka i wczesnego Jaruzelskiego. Jest tam scena, w której Dziabas uderzył swoją żonę i nikt wtedy, kiedy ten film powstał, nie mówił, że to jest jakaś przemoc. Po prostu facet napił się, był zazdrosny i uderzył. A wiadomo z kontekstu, że nie pierwszy raz ją uderzył. W jakichkolwiek opiniach na temat tamtego filmu problem przemocy domowej w tym kontekście w ogóle nie był poruszany. Natomiast teraz już jest tak, że byśmy o tym mówili. To się mocno zmieniło. Jak mnie, na przykład, nauczycielka w podstawówce lała linijką czy wyzywała od debili, to jej chodziło o to, żebym ja się lepiej uczył, to były środki wychowawcze. Wiedziałem też, gdzie pasek był w domu. Ale kto by wtedy odważył się nazywać to przemocą...

A czy dla takiego twórcy, jak pan, istnieje jakieś tabu? Jest temat, którego by pan nie dotknął?

Nie wiem, co szczerze na to odpowiedzieć. Moja rzeczywistość wygląda tak, że mam w szufladzie parę projektów, dotyczących różnych trudnych tematów. Ale powstawanie filmu zajmuje dużo czasu, dlatego, że ja piszę scenariusz i z nim znajdują się pieniądze, zanim nakręcimy zdjęcia i dojdzie do postprodukcji, to mijają trzy-cztery lata. Powiedziałem już o dwóch projektach – kameralnym i wielkiej produkcji. Ale nie wiem, jakim człowiekiem będę za rok, dwa, trzy, jaki temat mnie wtedy zainteresuje, co zainspiruje do napisania kolejnego tekstu, co będzie się działo w Polsce i na świecie.

Może będziemy znowu kręcić filmy powojenne...
Oby nie.

Myślał pan chociaż raz o tym, żeby tak przewrotnie zrobić w kinie coś lekkiego?
Zawsze od tego wychodzę. Zawsze próbuję zrobić miły film o miłości, kameralny, a potem kamera pędzi nad miastem, są setki statystów, no i ktoś wyłączy światło.

Pisze pan swoje filmy mocnym charakterem pisma, sam tworzy scenariusze, wyjątkiem była „Róża”, zrealizowana według scenariusza Michała Szczębnica. Czy dziś mógłby pan podjąć cudzy pomysł, pracować nad scenariuszem nie własnego autorstwa?
Myślę o tym, dlatego że pisanie zajmuje mi dużo czasu, zwłaszcza jeżeli dotykam tematu, o którym mało wiem i muszę zrobić dokumentację. Jedynym filmem, który mnie nic nie kosztował pod względem scenariusza, była „Drogówka”. Jeździłem autem, robiłem program o policji, napisałem to bardzo szybko. Ale jeżeli wchodzę w jakąś historyczną sytuację, to opracowanie wszystkich składników jest czasochłonne. Wracając do pytania, nie wiem, ile przede mną lipców jeszcze, ale myślę, że mógłbym skrócić ten proces biorąc gotowy tekst, w którym bym pewnie coś jeszcze poprzestawiał lub podokładał. I nawet chyba zacząłem już o tym rozmawiać z różnymi ludźmi.

I teraz ma pan swoją gwiazdę na ulicy Piotrkowskiej w Łodzi? Jakie z tym wiążą się emocje?
To super, że stało się to w Łodzi, to jest oczywiście miłe. Aczkolwiek to taki etap, że za chwilę pojawiają się napisy: w życiu na Ziemi udział wzięli... Jest w tym wymiar podsumowywania. Przyjechałem na uroczystość do Łodzi, której nie poznaję, otrzymałem wiele fantastycznych bodźców. To jest naprawdę fajny moment w życiu. Najzwyczajniej w świecie się cieszę.

„OSA” WRACA. TORUŃSKA SZKOŁA OFICERSKA ZE STULETNIĄ TRADYCJĄ

Przeformowanie Centrum Szkolenia Artylerii i Uzbrowienia w Centrum Szkolenia Wojsk Rakietowych i Artylerii to krok ku odtworzeniu w Toruniu wyższej szkoły oficerskiej

Marek Nienartowicz

Centrum Szkolenia Wojsk Rakietowych i Artylerii zaczęło funkcjonować 1 października. Przeformowane w nie zostało Centrum Szkolenia Artylerii i Uzbrowienia. Ta zmiana wywołała pytania o możliwość odtworzenia w Toruniu wyższej szkoły oficerskiej wojsk rakietowych i artylerii. Także za sprawą siedziby CSWRiA - przy ulicy Sobieskiego 36. Właśnie w tym miejscu funkcjonowała przez lata szkoła oficerska, nazywana „Osą”. Jeszcze bardziej te pytania pojawiły się za sprawą bogatej tradycji szkolnictwa artyleryjskiego w Toruniu.

- Początki polskiego szkolnictwa artyleryjskiego w Toruniu sięgają okresu po wkroczeniu wojsk polskich do miasta w 1920 roku - wspomina major rezerwy Mirosław Giętkowski, pracownik Muzeum Twierdzy Toruń. - Należało stworzyć zajmujący się nim ośrodek. Toruń się do tego nadawał. To dlatego, że wcześniej Niemcy mieli tu duży ośrodek artyleryjski, łącznie z jednym największych poligonów i dobrze przygotowaną bazą. Dlatego do Torunia przeniesiono całe szkolenie artyleryjskiej II Rzeczypospolitej.

W międzywojennym Toruniu funkcjonowało tu kilka ośrodków szkolenia artyleryjskiego. Od 9 grudnia 1921 roku ośrodkiem szkolenia i doskonalenia kadr artyleryjskich stał się Obóz Szkolny Artylerii.

- Skupiał w sobie cztery szkoły: dla oficerów starszych, podoficerów, oficerów młodszych oraz szkołę pomiarów artyleryjskich. Obok nich, niezależnie, funkcjonowała od 1923 roku Oficerska Szkoła Artylerii. W 1927 roku, po reorganizacji szkolenia wojskowego, utworzono w Toruniu Centrum Szkolenia Artylerii. W jego strukturze było w sumie sześć szkół. Centrum funkcjonowało do 1939 roku - mówi Mirosław Giętkowski.

Oficerska Szkoła Artylerii: przed i po II wojnie światowej

Oficerska Szkoła Artylerii została powołana 1 czerwca 1923 roku, na mocy decyzji Szefa Sztabu Generalnego marszałka Józefa Piłsudskiego. W latach 1923-1939 (od sierpnia 1928 roku w Szkole Podchorążych Artylerii) wykształcono tu 2184 absolwentów.

Wtedy też - od skrótowca nazwy Oficerskiej Szkoły Artylerii - pojawiło się określenie „Osa” na toruńską szkołę oficerską. Ugruntowane zostało po II wojnie światowej. Przerwało do dziś, chociaż szkole zmieniano nazwę.

Jeszcze pod koniec II wojny światowej, już po ponownym przejęciu miasta od Niemców, na podstawie rozkazu Naczelnego Dowódcy Wojska Polskiego z 15 marca 1945 roku, utworzono w Toruniu Oficerską Szkołę Artylerii nr 2. Do jej sformowania skierowano latem 1945 znaczną część kadry i podchorążych z OSA Nr 1 w Chełmie.

Inauguracja roku szkolnego w OSA Nr 2 w Toruniu odbyła się 1 września 1945 roku. Równolegle, od jesieni 1945 do wiosny 1946 roku w Olsztynie działała OSA Nr 1. Rozwiązano ją rozkazem Naczelnego Dowódcy WP z 18 stycznia 1946 roku. Część kadry i podchorążych włączono w skład OSA Nr 2 w Toruniu, którą przemianowano na Oficerską Szkołę Artylerii.

12 października 1954 roku Oficerskiej Szkole Artylerii w Toruniu nadano imię generała Józefa Bema. Rozkazem Ministra Obrony Narodowej

z 21 lipca 1965 roku przemianowano toruńską uczelnię na Oficerską Szkołę Wojsk Rakietowych i Artylerii.

Wyższa Szkoła Oficerska: od 1967 do 2002 r.

Na podstawie Rozporządzenia Rady Ministrów z 23 marca 1967 roku, Oficerska Szkoła Wojsk Rakietowych i Artylerii otrzymała status wyższej uczelni zawodowej. Stała się Wyższą Szkołą Oficerską Wojsk Rakietowych i Artylerii. Pod tą nazwą funkcjonowała do 1994 roku. W WSOWRiA kształcili się dowódcy - inżynierowie na potrzeby jednostek rakietowych i artyleryjskich. Prowadzono tu także działalność naukowo-badawczą.

W 1994 roku WSOWRiA przemianowano na Wyższą Szkołę Oficerską imienia generała Józefa Bema. Historia „Osy” przerwana została w 2002 roku. Było to efektem zmian restrukturyzacyjnych w polskim wojsku po roku 1989, w ramach transformacji ustrojowej. 30 września 2002 roku, na mocy decyzji Ministra Obrony Narodowej, WSO zakończyła działalność. Jednocześnie powołane zostało, od 1

października 2022 roku, Centrum Szkolenia Artylerii i Uzbrowienia. Rozlokowano je w koszarach przy ulicy Sobieskiego 36 w Toruniu, wcześniej zajmowanych przez „Osę”.

CSAiU zajęło się szkoleniem podoficerów. Powrót placówki szkolącej oficerów rozpoczął się w ostatnich latach. Powodem była zmieniająca się sytuacja międzynarodowa i rosnące zagrożenie ze strony Rosji.

Centrum Szkolenia Wojsk Rakietowych i Artylerii: krok do powrotu „Osy”

Na praktyki zawodowe CSAiU zaczęli być kierowani podchorążowie z Akademii Wojsk Lądowych we Wrocławiu - z grupy osobowej rakietowej i artylerii. Konsekwencją tego była promocja oficerska, zorganizowana w Toruniu w lipcu 2025 roku. Na pierwszy stopień oficerski, czyli na stopień podporucznika, mianowano wówczas 26 podchorążych.

Promocja oficerska odbyła się w Toruniu po 23 latach. Poprzednią zorganizowano w 2002 roku, w ostatnich miesiącach funkcjonowania Wyższej Szkoły Oficerskiej. W najbliższych latach będą w Toru-

niu kolejne. Przejdą tu bowiem szkolenia kolejni podchorążowie z wrocławskiej AWL - już nie w CSAiU, ale w CSWRiA.

Jest też szansa, że za kilka lat promocję w Toruniu znów będzie organizować tujejsza wyższa szkoła oficerska. Przeformowanie CSAiU w CSWRiA jest krokiem ku jej utworzenia czy może raczej odtworzenia.

- Robimy krok ku powrotowi „Osy” do Torunia. Opracowujemy koncepcję utworzenia wyższej szkoły oficerskiej wojsk rakietowych i artylerii. Będzie to zarazem powrót do tradycji uczelni niegdyś istniejącej w Toruniu, której zresztą jestem absolwentem. Powodem jest wzrost liczby jednostek wojsk rakietowych i artylerii. Potrzebujemy dla nich kadry oficerskiej - wyjaśniał Szef Zarządu Wojsk Rakietowych i Artylerii Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych pułkownik Andrzej Kupis podczas uroczystego apelu z okazji przeformowania CSAiU w CSWRiA.

Możliwe jest, że szkoła oficerska zacznie funkcjonować w ciągu dwóch, trzech, maksymalnie czterech lat. ©



Wyższa Szkoła Oficerska Wojsk Rakietowych i Artylerii w Toruniu na zdjęciach z kroniki z lat 70., będącej w zasobach toruńskiego Archiwum Wojskowego



Podchorążowie z Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Rakietowych i Artylerii z końca lat 80.

POLSKA i ŚWIAT

KRÓTKO

WARSZAWA

Minister finansów: W 2026 roku żegnamy drożynę i stagnację

- Budżet na 2026 rok jest planem wzmocnienia polskiej gospodarki; wraz z nim żegnamy drożynę i stagnację - przekazał w czwartek w Sejmie minister finansów i gospodarki Andrzej Domański, który przedstawił projekt ustawy budżetowej na 2026 rok. Podkreślił, że projekt budżetu przewiduje inwestycje w innowacyjność, cyfryzację i konkurencyjność Polski.

- W bieżącym i kolejnym roku spodziewane jest wy-

rażne ożywienie gospodarcze. Polskie PKB w ujęciu realnym w latach 2025 i 2026 wzrośnie odpowiednio o 3,4 proc. i 3,5 proc. To plasuje polską gospodarkę znacznie powyżej prognoz dla strefy euro - powiedział minister.

Wydatki budżetu państwa w przyszłym roku wyniosą 918,9 mld zł, przy dochodach w wysokości 647,2 mld zł. Deficyt ma nie przekroczyć zatem poziomu 271,7 mld zł.

Oprac. Anna Nagel | PAP

RZYM

Otwarto sekretny tunel cesarski



FOT. PAP/EP/ANSA/MASSIMO PERCASSI

W podziemiach Koloseum po raz pierwszy otwarto dla zwiedzających tzw. Przejście Kommodusa - cesarza rzymskiego, syna Marka Aureliusza. Od pierwszego wieku n.e. sekretny tunel był używany przez cesarzy, którzy przechodzili nim do przeznaczonych dla nich honorowych miejsc na widowni. | PAP

WARSZAWA

Polacy przyznają, że alkoholizm jest w naszym kraju problemem

86,8 proc. badanych uważa, że alkoholizm jest w Polsce poważnym problemem społecznym, a 64 proc. zna osobę w swoim otoczeniu, która ma realny problem z alkoholem - wynika z sondażu UCE Research dla Onetu.

Większość Polaków spotyka się z sytuacją, w której

ktoś sięga po alkohol nie z powodu chęci, lecz dlatego, że „tak wypada”. To aż 74,1 proc. pytanym. Najczęściej z powodu okazji, jak święta, urodziny czy imieniny (24,5 proc.).

Według 61,9 proc. badanych alkohol w Polsce jest zbyt łatwo dostępny.

Oprac. Anna Nagel | PAP

WASZYNGTON

- Nikt w historii nie zakończył tylu wojen, co ja, ale pewnie znajdą jakiś powód, by nie przyznać mi Pokojowej Nagrody Nobla - oświadczył prezydent USA Donald Trump. W piątek zostanie ogłoszony tegoroczny laureat tego wyróżnienia. Jego kandydaturę do otrzymania nagrody poparli m.in. przywódcy Armenii, Azerbejdżanu, Demokratycznej Republiki Konga, Izraela, Kambodży i Rwandy. | PAP

”

Nikt w historii nie zakończył tylu wojen, co ja, ale pewnie znajdą jakiś powód, by nie przyznać mi Pokojowej Nagrody Nobla

Donald Trump prezydent USA

Polski urzędnik szpiegował dla rosyjskiego wywiadu?

Marcin Koziestański
Warszawa

Do Sądu Okręgowego w Warszawie skierowany został akt oskarżenia przeciw Tomaszowi L., oskarżonemu o szpiegostwo oraz przekroczenie uprawnień funkcjonariusza publicznego.

Informację przekazał Jacek Dobrzyński, rzecznik koordynatora służb specjalnych. Prokuratura zarzuca Tomaszowi L. udział w działalności rosyjskiego wywiadu.

Dobrzyński przekazał w czwartek na platformie X, że akt oskarżenia jest wynikiem długotrwałego i wielowątkowego postępowania prowadzonego przez funkcjonariuszy Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego pod nadzorem Prokuratury Krajowej.

Sprawa dotyczy pracownika Urzędu Stanu Cywilnego w Warszawie, zatrzymanego przez funkcjonariuszy ABW 17 marca 2022 r. - wynika z szerzej informacji opublikowanej na stronie Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Po tym zatrzymaniu prokuratura, na podstawie materiałów ABW, wszczęła śledztwo, a sąd zastosował wobec niego środek zapobiegawczy w postaci tymczasowego aresztowania, który był przedłużany.

ABW przekazała, że 11 września 2025 r. prokurator z Mazowieckiego Wydziału



FOT. KRZYSZTOF KAPICA

Sprawa dotyczy pracownika Urzędu Stanu Cywilnego w Warszawie, zatrzymanego przez ABW 17 marca 2022 r.

Zamiejscowego Departamentu do Spraw Przestępczości Zorganizowanej i Korupcji Prokuratury Krajowej skierował do Sądu Okręgowego w Warszawie akt oskarżenia przeciw Tomaszowi L. Śledczy zarzucili mężczyźnie branie udziału, w okresie od 2017 r. do dnia 17 marca 2022 r., w działalności rosyjskiego wywiadu cywilnego oraz przekazywanie temu wywiadowi informacji, które mogły wyrządzić szkodę Rzeczypospolitej Polskiej.

„W wyniku długotrwałego i wielowątkowego postępo-

wania przygotowawczego prowadzonego przez ABW pod nadzorem ww. Prokuratury, zebrano obszerny materiał dowodowy, z którego wynika, że Tomasz L., będąc pracownikiem Wydziału Archiwalnego Ksiąg Stanu Cywilnego Urzędu m.st. Warszawy i posiadając dostęp do jego zbiorów oraz systemów, pozyskiwał służbową dokumentację i materiały, które przekazywał rosyjskiej służbie wywiadowczej” - wyjaśniono w komunikacie.

Prokuratura Krajowa poinformowała w czwartek, że

z materiału dowodowego wynika, że Tomasz L. miał kopować na prywatne nośniki i fotografować telefonem służbowe dokumenty, w tym akty stanu cywilnego obywateli polskich i cudzoziemców, korespondencję z placówkami dyplomatycznymi, urzędowe szablony, wytyczne i inne dane.

„Uzyskiwane dane i dokumenty umożliwiały m.in. wykonanie przez obce służby dokumentacji legalizacyjnej dla budowania tożsamości tzw. nielegalów. (...) Dane te przekazywał następnie ustalonemu oficerowi wywiadu za pomocą zakamuflowanej łączności radiowej. Wcześniej został w tym zakresie przeszkolony przez rosyjskie służby” - podała PK.

Po zatrzymaniu na wniosek prokuratury sąd zastosował wobec Tomasza L. środek zapobiegawczy w postaci tymczasowego aresztowania, który następnie był przedłużany, w tym ostatnio przez Sąd Apelacyjny w Warszawie na kolejnych 6 miesięcy, tj. do 25 marca 2026 r.

Tomasz L. nie przyznał się do zarzucanego mu czynu. Na początkowym etapie śledztwa złożył wyjaśnienia. Podczas następnych przesłuchań korzystał z prawa do odmowy składania wyjaśnień - przekazali śledczy w komunikacie.

PAP

Polscy obywatele z flotyli Sumud wrócili do kraju. Poseł KO ma pretensje do Radosława Sikorskiego

Oprac. Anna Nagel
Warszawa

Polscy uczestnicy flotyli humanitarnej do Strefy Gazy - Omar Faris, Nina Ptak, Franciszek Sterczewski i brytyjska dziennikarka polskiego pochodzenia Ewa Jasiewicz są już w Polsce.

Polacy znajdowali się w grupie ponad 470 osób z 47 państw biorących udział w Globalnej Flotyli Sumud (GSF). Morski

konwój humanitarny został przechwycony w ubiegłym tygodniu w nocy ze środy na czwartek na wodach międzynarodowych przez izraelską marynarkę wojenną. Przejęto 42 statki, a ich załogi sprowadzono do Izraela, zatrzymano i deportowano.

Po przylocie na warszawskie lotnisko Chopina przewodniczący polskiej delegacji Omar Faris powiedział, że wszyscy muszą być razem przeciwko ludobójczej wojnie w Strefie Gazy. Re-

lacionował też, że uczestnicy flotyli byli traktowani „w sposób absolutnie brutalny”.

- Przez kilka godzin, ja mam 73 lata, wiązali moje ręce do tyłu i na kamienie wsadzili - mówił Faris na briefingu prasowym.

Sterczewski pytał, dlaczego w czasie, kiedy uczestnicy flotyli robili wszystko, żeby zakończyć to ludobójstwo, zwrócić uwagę świata na to, co tam się dzieje, minister Sikorski bagatelizował sytuację. Jak zaznaczył, nie oczekuje od Sikor-

skiego dymisji, a „natychmiastowej zmiany polityki rządu polskiego”.

Rzecznik MSZ Maciej Wewiór proszony o komentarz w sprawie zarzutów aktywistów zapewnił, że resort chroni interesy Polski i jej obywateli, korzystając z narzędzi dyplomacji.

„Dobrze, że dzięki tym działaniom trójka naszych obywateli jest już wolna i mogła wrócić do kraju” - napisał w przesłanym do PAP komentarzu. PAP

DROBNE

Nieruchomości

MIESZKANIA - SPRZEDAM

SPRZEDAM mieszkanie bez prowizji; 1/3 piętro; 2 pokoje, 60,6 m²; Toruń, ul. Matejki, Bydgoskie Przedmieście tel. 508662403

MIESZKANIA - KUPIĘ

WWW.SKUP-MIESZKAN-TORUN.PL
Kupię mieszkanie, dom - 507123999

MIESZKANIA DO WYNAJĘCIA

POKÓJ z aneksem kuchennym + sypialnia, Toruń. Tel. 509-042-283

DOMY - SPRZEDAM

SPRZEDAM 500 tys. zł domek k/ Osieka, 20 km od Torunia, nowy, 70 m² lub zamienię na mieszkanie. tel. 665-160-287

SPRZEDAM domek (mieszkalny na Rudaku w Toruniu) 40 m² na działce ROD 105 tys zł. Tel. 575-655-727

Praca

ZATRUDNIĘ

PRACA dorywcza kopanie cięcie malowanie itp. 739149021

ZATRUDNIMY

drogowców oraz budowlanców do pracy w Niemczech. Tel. 506 820 639, 691 170 156, 00 49 171 687 66 95

Usługi

BUDOWLANO-REMONTOWE

ZDUN 508-918-006

KOMPUTEROWE

514-042-236. Informatyk z dojazdem.

PORZĄDKOWE

DIYWANY, tapicerki, okna.

Czyszczenie "Kärcher" 697-628-925

Turystyka

KRAJ - GÓRY

Beskidy koło Wadowic - tradycyjne turnusy Świąteczne, tel.: 501-642-492.

Matrymonialne

OGŁOSZENIE matrymonialne, poznam Panią do 46 lat. Tel. 508-303-756

Różne

KASA za stare książki 609-643-399

Rolnicze

MASZYNY ROLNICZE

KUPIĘ ciągniki, przyczepy, maszyny rolne. Tel. 535135507.

AUTOREKLAMA

ibo

TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ

Ogłoszenia drobne

w Twojej gazecie zlecisz bez wychodzenia z domu przez Internetowe Biuro Ogłoszeń

ibo.polskapress.pl

AUTOPROMOCJA

Kondolencje i nekrologi w Twojej gazecie

Tutaj zlecisz ogłoszenie

ibo.polskapress.pl

REKLAMA

0011396030

Firma SPRZEDA

lokal użytkowy w Bydgoszczy

(udział w nieruchomości).

znajdujący się na szóstym piętrze budynku usługowo-biurowego (budynek Sanitasu). Biurowiec położony tuż przy dworcu PKP.

Tel. 510 026 836

0011413619

Pani

Monice Waleckiej-Gołasz

wyrazy głębokiego współczucia i słowa wsparcia z powodu śmierci

Taty

składa

Piotr Całbecki

Marszałek Województwa Kujawsko-Pomorskiego wraz ze współpracownikami

0011414128

REKLAMA

0011407835

„ALPA”

Zakład i Dom Pogrzebowy

Nowa Główna Siedziba:
Toruń: ul. M. C. Skłodowskiej 41
ul. Podgórna 16
ul. Okólna 30
tel. 56/62-226-59
fax 56/66-11-239
CAŁĄ DOBĘ www.alpa.com.pl

- Transport ciała na terenie kraju i Europy;
- Załatwianie formalności pogrzebowych;
- Kremacje, ekshumacje;
- Odzież i dewocjonalia
- Wieniec i wiązanki
- Sprzedaż nagrobków;
- Możliwość wyboru kolorystyki strojów żałobników;
- Z szacunkiem i zaangażowaniem spełniamy ostatnią posługę.

REKLAMA

0011264133

sotor

FIRMA POGRZEBOWA

TELEFONY: 56 655 33 50 | +48 509 799 013

Kompleksowe usługi pogrzebowe

Międzynarodowy transport zmarłych

Rozliczenie ratalne

Usługi cmentarne

www.sotor.pl | Toruń, Sowińskiego 5

REKLAMA

0010738404

Z głębokim żalem zawiadamiamy, że dnia 7.10.2025 r. zmarł mój ukochany

Mąż, Tata, Dziadek, Brat, Wujek i Szwagier

Jan Łukomski

lat 97

Uroczystości pogrzebowe rozpoczną się dnia 11.10.2025 r. o godz. 11.45 modlitwą różańcową w kościele pw. Matki Boskiej Zwycięskiej przy ul. Podgórznej w Toruniu. O godz. 12.15 w kościele odprawiona zostanie uroczysta msza św. żałobna. Po mszy św. ceremonia pogrzebowa odbędzie się na cmentarzu parafialnym przy ul. Wybickiego (brama od ul. Wybickiego).

Pogrążona w smutku Rodzina

Bus zostanie podstawiony przy kościele po mszy św.

AUTOPROMOCJA

Zleć nekrologi, ogłoszenia drobne, życzenia

Biuro ogłoszeń Nowości Dziennika Toruńskiego:
Toruń, czynne: pn.-pt. 8-16
ul Grudziądzka 46-48, tel. 606 537 137
e-mail: lukasz.kopanski@polskapress.pl

Gdy brakuje czasu

Brak czasu to najpopularniejsza wymówka, którą usprawiedliwiamy nasz brak ruchu. I czasem naprawdę jest tak, że ktoś z nas nie ma go w ogóle, bo każdy dzień ma rozplanowany od rana do nocy. Warto wtedy poszukać aktywności niecelowej. Np. jak często stoimy w korkach, możemy spróbować przesiąść się na rower, by je ominąć. Lub wysiąść z autobusu dwa przystanki wcześniej i pokonać tak najwolniejszy odcinek. Gdy mieszkamy na 10 piętrze, wysiadzmy na 9 lub 8 i pokonajmy te kilka schodów o własnych siłach. To też jest jakaś aktywność, która przełoży się na naszą kondycję i zdrowie.

FOT.: GETTY IMAGES



Z profesjonalnych sportowców możemy czerpać inspirację, ale nie powinniśmy wymagać od siebie takich samych osiągnięć, bo tylko się zniechęcimy

Nie rezygnujemy z ruchu

►► Jak zmotywować się do ćwiczeń, gdy nie widać efektów

Tomasz Skory

Na początku każdego roku siłownie i sale treningowe zapelniają się po brzegi, ale z miesiąca na miesiąc słabnie motywacja, a wraz z nią frekwencja. Z jakich powodów najczęściej odpuszczamy treningi i co można na to zaradzić?

Znalezienie motywacji do uprawiania sportu to już połowa sukcesu, ale z motywacją jest też tak, że bywa ulotna i znajdujemy sobie wymówki, dla których przestajemy ćwiczyć. Porównujemy się na

przykład do osób, które trenują już od lat i zamiast czerpać z nich inspirację, dochodzimy do wniosku, że nigdy nie osiągniemy takiego poziomu. Albo stwierdzamy, że skoro coś nam nie wychodzi, to nie ma sensu tego kontynuować.

Zapominamy jednak, że osoby, do których się porównujemy, też kiedyś zaczynały tak jak my i nie wszystko im od razu wychodziło. Oczywiście, nikt z nas nie lubi udawać, jaki jest w czymś kiepski, dlatego jeśli wymyślił sobie, że zaczniemy grać w koszykówkę, a okazało się, że ciągle nie trafiamy do kosza, mamy prawo się zniechęcić. Tylko w takiej sytuacji,

zamiast zaprzestawać jakiegokolwiek aktywności, lepiej poszukać innej, która będzie sprawiać więcej przyjemności niż zawodu. Możliwość jest mnóstwo, a na poziomie amatorskim wyniki mają raczej niewielkie znaczenie.

Kolejna pułapka, w którą często wpadamy planując aktywność fizyczną, to myślenie „i tak nie zdążę zrobić formy do lata”. Zapisaliśmy się na siłownię, ale w poniedziałek nie mogliśmy iść, w środę nam coś wypadło, więc w piątek „już się nie opłaca”. To tak nie działa! Potknięcia się zdarzają, ale nie powinno nas to zniechęcać do podejmowania dalszych prób. Opuściliśmy dwa trenin-

gi? To idźmy na trzeci. Może nie zdążymy zrobić formy w terminie, odciągnie to w czasie nasz cel, ale przynajmniej całkiem nam on nie ucieknie. W ten sposób unikniemy efektu „wszystko albo nic”.

Osoby, które nastawiają się na konkretny cel, często zderzają się też z kolejnym problemem - ćwiczą, ale nie widzą efektów tych ćwiczeń. Zwykle dotyczy to osób, które próbują zrzucić wagę i kiedy stoi ona w miejscu lub spada wolniej niż oczekują, zniechęcają się do wysiłku. Jeżeli założymy, że w tydzień zrzucimy 5 kg, to faktycznie możemy być rozczarowani. Dlatego nasze cele muszą być realne.

Wtedy, po osiągnięciu jednego, będziemy mieć ochotę wyznaczyć sobie kolejne i w ten sposób się rozwijać.

Kolejna wymówka to stwierdzenie „jak mam zrobić byle jaki trening, to już lepiej nie robić wcale”. Jeśli bylejać, to faktycznie lepiej opuścić. Natomiast jeśli polega na tym, że zrobimy mniej powtórzeń, czy odpuścimy jakieś ćwiczenie, to lepszy „byle jaki” trening, niż taki, którego wcale nie zrobimy. Jak nie chce nam się robić 20 pompek, to 10 wciąż będzie lepsze niż zero.

AUTOREKLAMA

strona
zdrowia

Czytaj dla zdrowia

stronazdrowia.pl

AUTOPROMOCJA

009500638

Strefa Biznesu

**NAJWIĘKSZY
REGIONALIZOWANY
SERWIS GOSPODARCZY
W POLSCE**

- ✓ Sprawdzone informacje gospodarcze ze świata, z Polski i z Twojego regionu
- ✓ Porady dla małych i średnich przedsiębiorstw
- ✓ Baza komunikatów i przetargów



www.strefabiznesu.pl

AUTOPROMOCJA

0010214782

Zdrowie

REKLAMA:

tel. **502 499 396**

AUTOREKLAMA

 **strefa
EDUKACJI**

Edukacja
w najwyższym stopniu

stronaedukacji.pl

REKLAMA

0011407839

PRYWATNA SPECJALISTYCZNA
PRAKTYKA LEKARSKA

**GABINET
PSYCHIATRYCZNY**

ARKADIUSZ SZMAŃDA

87-100 Toruń,
ul. Stefana Srebrnego 1

rejestracja
tel. 56 62 10 811, 516 138 555
wizyty domowe 601 959 392

REKLAMA

0011391528

REZONANS MAGNETYCZNY

7 DNI W TYGODNIU

ODPŁATNIE I W RAMACH UMOWY Z NFZ

„TOMOGRAF”

ul. Kościuszki 71, Toruń

Rejestracja badań odpłatnych:
601 261 986, 22 276 24 40

rejestracja@tomograf.torun.pl www.tomograf.torun.pl

[illegible]

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 28 utworzą rozwiązanie – myśl Aleksandra Fredry.

ROZWIĄZANIE: MILCZENIE JEST SKARBEM POLITYKI.

Zwycięstwo w Kownie jest obowiązkowe

Bartosz Głęb
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. Reprezentacja Polski w niedzielę zagra na wyjeździe z Litwą w szóstym meczu eliminacji MŚ 2026. Zdecydowanym faworytem rywalizacji są oczywiście Biało-Czerwoni.

Podopieczni Jana Urbana we wrześniu zaprezentowali się bardzo dobrze w wyjazdowej rywalizacji przeciwko Oranje oraz

w pojedynku na Stadionie Śląskim z Finlandią. Remis i zwycięstwo przywróciły nadzieje na awans do przyszłorocznego turnieju, który zostanie rozegrany w Kanadzie, Stanach Zjednoczonych i Meksyku.

Teraz chyba nikt sobie nie wyobraża, że Biało-Czerwoni stracą punkty w rywalizacji z zespołem, który plasuje się dopiero na 145. miejscu w rankingu FIFA. Trzeba jednak przypomnieć, że w marcowej inauguracji eliminacji MŚ 2026 zespół prowadzony

wówczas jeszcze przez Michała Probierza szczęśliwie wygrał na stadionie PGE Narodowy tylko 1:0 po голу Roberta Lewandowskiego w 81. minucie.

W Kownie spotkanie z pewnością do najłatwiejszych należeć nie będzie, ale trzeba sobie jasno powiedzieć. Jeśli Polacy będą mieli problemy w meczu wyjazdowym z Litwą, raczej nie mają czego szukać na przyszłorocznym mundialu w Ameryce Północnej. Muszą wygrać, by pozostać w grze o awans.

W kadrze Litwy na mecz z Polską nie ma żadnego zawodnika grającego w Polsce, ale są tacy, którzy w przeszłości grali w Ekstraklasie. Znalazł się w niej między innymi pomocnik Paulius Golubickas, który wiosną spędził na wypożyczeniu w Radomiaku Radom. Może zagrać też Fedor Černych, czyli w przeszłości gwiazdor Jagiellonii Białystok. Napastnik miał też epizod w Górniku Łęczna.

Po raz ostatni reprezentacja Polski zagrała w Kownie w mar-

cu 2011 roku. Wtedy Biało-Czerwoni przegrali w meczu towarzyskim 0:2. W podstawowym składzie na tamto spotkanie wyszedł grający wtedy jeszcze w Borussii Dortmund Robert Lewandowski, a w drugiej połowie na placu gry pojawił się reprezentujący wówczas barwy tureckiego Sivassporu Kamil Grosicki, zmieniając Adriana Mierzejewskiego.

Transmisję z meczu Litwa - Polska będzie można oglądać w niedzielę od godziny 20:45

na kanałach TVP 1 oraz TVP Sport. Stream w internecie z meczu eliminacji MŚ 2026 będzie można obejrzeć bez opłat na stronie sport.tvp.pl oraz w aplikacji TVP Sport.

Przypomnijmy, że w czwartek wieczorem odbyły się mecze grupy G Malta - Holandia i Finlandia - Litwa.

W grupie prowadzi Holandia (10 punktów) przed Polską (10) i Finlandią (7). Awans uzyska tylko zwycięzca grupy, a drugi zespół zagra w barażu. ©

Olimpia i Zawisza będą bronić pozycji lidera na trudnych wyjazdach

Dariusz Knopik
dariusz.knopik@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. Przed nami kolejny ciekawie zapowiadający się weekend na futbolowych boiskach.

Zarówno w Betclie 2. Lidze, jak i Betclie 3. Lidze czas na 12. kolejkę. W tej pierwszej Olimpia Grudziądz zagra na wyjeździe z Wartą Poznań. To będzie hit tej serii gier. Biało-zieloni pojadą do stolicy Wielkopolski bronić pozycji lidera. Nad drugim Podhalem Nowy Targ mają trzy punkty przewagi. Podopieczni Artura Kosznickiego jedyną porażkę ponieśli właśnie z tym zespołem jeszcze w sierpniu. Warciarze po słabym początku zanotowali dziewięć meczów bez porażki i awansowali na piątą pozycję w tabeli. Tracą do Olimpii pięć „oczek”. To wszystko zapowiada duże emocje. Mecz w sobotę o godz. 12.

W podobnej sytuacji jak Olimpia jest Zawisza. Bydgoszczanie przewodzą trzeciolikowej stawce, ale nad drugą Cartusią mają tylko punkt przewagi, a nad Flotą Świnoujście, która jest ich najbliższym rywalem tych „oczek” jest trzy. Wyspiarze reklamują ten mecz jako spotkanie jesieni i mocno się na nie mobilizują. Flota jest aktualnie na czwartym miejscu w tabeli. Odniosła cztery zwycięstwa z rzędu, a ostatnim zespołem, który z nią wygrał była Elana Toruń. Zawiszenie chcą dalej kontynuować swoją passę, do której wrócili po ostatnim zwycięstwie nad Błękitnymi Stargard. Celem dalekiego wyjazdu jest obrona przodownictwa w tabeli Mecz Flota - Zawisza w sobotę o godz. 15.

O tej samej porze Elana podejmie Victorię Września. Torunianie są zdecydowanym faworytem w spotkaniu prze-

ciwko beniaminkowi. Wrześnianie zajmują przedostatnie miejsce w tabeli z dorobkiem sześciu punktów. Żółto-niebiescy nie przegrali meczu od końca sierpnia i aktualnie są na szóstym miejscu w tabeli. Trener Rafał Więckowski liczy na podtrzymanie tej passy.

Wda Świecie po prawie dwóch miesiącach wygrała u siebie i zaczyna się piąć w górę tabeli. W piątek o godz. 19 świeciane zagrają na wyjeździe z Polonią Środa Wielkopolska. Wdę czeka trudne zadanie, bo zagrają z zespołem, który notuje dobrą passę i awansował na trzecią pozycję w stawce. Nadzieję na korzystny wynik dają fakty, że ekipa ze Świecia lepiej spisuje się na wyjazdach niż u siebie.

Ciągle formy nie potrafią zawodnicy Tłuchowii. Po blamażu z Wikędem Luzino teraz tłuchowian czeka wyjazdowe spotkanie z rezerwami Pogoni Szczecin. Mecz w niedzielę o godz. 12.

- Po takim laniu nie mogliśmy przejść obojętnie i byli rozmowy - przyznał Arkadiusz Bator, trener Tłuchowii. - Powiedzieliśmy sobie wszystko o złych rzeczach, które się wydarzyły, ale teraz jest już pełne skupienie na najbliższym meczu. Pracujemy głównie, by odbudować naszą sferę mentalną. Mamy swoje problemy kadrowe i cierpimy na boisku. Nasza gra przypomina sinusoidę: razem jest lepiej, a raz gorzej - dodaje szkoleniowiec.

11. kolejka 4. Ligi Kujawsko-Pomorskiej-sobota: Victoria Czernikowo - Mustang Ostaszewo (11), Wisła Dobrzyń nad Wisłą - Orleża Aleksandrów Kujawski (11), Unia Gniewkowo - Kujawiak Kowal (14), Cuiavia Inowrocław - Sparta Brodnica (15), GLKS Dobrcz - Start Pruszcz (15), Piast Kołodziejewo - Chermik Bydgoszcz (15), Unia Solec Kujawski - Łokietek Brześć Kujawski (15), Unia Wąbrzeźno - Noteć Łabiszyn (15), Pogon Mogilno - Lech Rypin (16). ©

REKLAMA

ALUPROF **selt**
by ALUPROF

PANUJ NAD KLIMATEM
PANUJ NAD KOSZTAMI

OKNA | DRZWI | FASADY | OSŁONY PRZECIWSŁONECZNE | PERGOLE

AMBASADOR
Szymon Marciniak

www.aluprof.com/dom

ALUPROF
GRAMY FAIR z NATURA

0011413365

SPORT

www.sportowy24.pl

Statkarki rozpoczęły
nowy sezon. Pałac i Sokół
mają swoje ambicje

Dariusz Knopik

dariusz.knopik@polskapress.pl

SIATKÓWKA. Awans do play off jest celem na pierwszą część sezonu Tauron Ligi dla zespołów z Bydgoszczy i Mogilna.

Sezon w elicie kobiet rozpoczął się w czwartek. Sokół & Hagric swój mecz zagra w sobotę o godz. 12.30 na wyjeździe z Chemikiem Police, a Metalkas Pałac Bydgoszcz w poniedziałek po godz. 17.30 podejmie Radomkę Radom.

Bydgoszczanki w poprzednim sezonie zajęły szóstą lokatę, co było odzwierciedleniem możliwości zespołu. W klubie postawiono na ciągłość pracy sztabu trenerskiego pod wodzą Martino Volpiniego. Wszyscy liczą, że będzie jeszcze lepiej niż w poprzednich rozgrywkach.

- Takim celem głównym jest zakwalifikowanie się do play offów a więc zajęcie miejsca w pierwszej ósemce po sezonie zasadniczym - deklaruje Piotr Makowski, prezes klubu. - Mamy ciekawy zespół. Jest on oczywiście inny niż ten poprzedni. Cieszy mnie niezmiernie, że są w nim nasze wychowanki jak Pola Nowakowska, Monika Jagła czy Marta Pol, która do nas wróciła po wояażach w kraju. To wskazówka dla młodszych zawodniczek, które także są w składzie, że warto pracować i się rozwijać, a wtedy dostanie się szansę gry - dodaje szef Pałacu.

Prócz wymienionej trójki liderkami drużyny powinny być rozgrywająca Marta Łyczakowska i środkowa Dominika Witowska. Ciekawe jak po wyleczeniu

ciężkiej kontuzji zaprezentuje się Wiktoria Makarewicz. W składzie są też dwie zawodniczki zagraniczne: grecka przyjmująca Elana Baka i francuska atakująca Victoria Foucher.

Po debiutanckim sezonie zakończonym utrzymaniem apetyty wzrosły też w Mogilnie.

- Wtedy wszystko było dla nas nowe, a teraz jesteśmy mądrzejsi i tamte doświadczenia - podkreśla Agnieszka Laskowska, prezeska Sokola. - Chcemy zrobić kolejny krok i nie ukrywamy, że marzy się nam miejsce w ósemce i potem gra w play offach. Mamy nadzieję, że zbudujemy zespół, który jest w stanie podołać temu wyzwaniu. Najważniejsze, żeby zawodniczkom dopisywało zdrowie - dodaje szefowa klubu.

W Sokole w przerwie między sezonami doszło do personalnej rewolucji. Z poprzedniej drużyny została atakująca Agnieszka Cur-Słomka, przyjmująca Sandra Świętoń, środkowa Paulina Brzowska i libero Karolina Pancewicz. Za rozgrywanie mają odpowiadać Hiszpanka Ariadna Priante i doświadczona Aleksandra Stachowicz. Ciekawe jak na przyjęciu zaprezentuje się Greczynka Marię Tsitsigianni? Będzie walczyła o miejsce w składzie z doświadczonymi Kingą Stronias i Emilią Pinczewską. Nowymi postaciami są też atakująca Wiktoria Kowalska oraz środkowa Aleksandra Cygan i Wiktoria Nowak, a także libero Natalia Pajdak.

Zespół ponownie poprowadzi Mateusz Grabda.

Zapowiada się co najmniej pół roku dużych emocji. ©©



W poprzednim sezonie Pałac i Sokół podzieliły się zwycięstwami w meczach derbowych

KOSZYKÓWKA

Maciej Lampe zaprasza na spotkanie w Cierpicach

W sobotę słynny koszykarz będzie gościem kibiców w Cierpicach pod Toruniem. Otwarte spotkanie zaplanowano w Centrum Rekreacji Olender od godz. 13.00. Lampe opowie o swojej drodze do NBA i największych klubów w Europie, celach i działalności swojej fundacji, turniejach Lampe 2x2 Challenge czy projekcie „Śledź Lampego”. Organizatorzy zapewniają, że koszykarz odpowie na każde pytanie zgromadzonych gości.



FOT. ANDRZEJ SZKOCKI

TENIS STOŁOWY

Dwa medale LUKS Chełmno

Podczas pierwszego turnieju Grand Prix Polski młodzików w Poznaniu na podium stanęli Jakub Pankowski i Anelia Jabłońska z LUKS Chełmno. W swoich kategoriach wiekowych zajęli 3. miejsca. (szcz)

KRÓTKO



FOT. AGNIESZKA BIEŁECKA

HOKEJ

Torunianie chcą kolejnych zwycięstw. Są dwie szanse

KH Energa zagra dziś na wyjeździe z niższej notowaną Cracovią, w niedzielę podejmie wicelidera z Sosnowca (17.00). Po niespodziewanych zwycięstwach w Karwinie z JKH GKS Jastrzębie i Oświęcimiu z Unią torunianie zajmują 5. miejsce, ale z niewielką stratą do czołówki (5 pkt do prowadzącej Unii). Dwa zwycięstwa w weekend mogą oznaczać spory awans w tabeli.

Dziś po raz pierwszy tak naprawdę drużyna zagra pod ręką Samiego Hirvonena. Fin obejrzał na żywo zwycięstwo w Oświęcimiu, a od poniedziałku sam prowadzi treningi w Toruniu i ma już swoje wnioski. - Mamy pewne zalety, brakuje odpowiedniej gry obronnej i współpracy całej piątki. Rozpoczęcie pracy trenerskiej w środku sezonu z gotową drużyną to wyzwanie. Jest mało czasu, a decyzje trzeba podejmować szybko - mówi szkoleniowiec w rozmowie z klubowym portalem. (jp)

PIŁKA NOŻNA

Puchar dla torunianek

W rozegranym w Łabiszynie finale Pucharu Polski kobiet na szczelbu wojewódzki TAF II Toruń pokonał Victorię Niemcz/Osielsko 2:0 (bramki: Julia Olkiewicz i Anna Siwicka). Zwycięska ekipa odebrała puchar, nagrodę pieniężną (5 tys. zł) i voucher na zakup sprzętu sportowego (10 tys. zł). (szcz)

LOTTO

ŚRODA, 8.10

Multi Multi, godz. 22.00

3, 5, 6, 10, 14, 18, 21, 29, 30, 31, 38, 40, 41, 60, 61, 63, 65, 69, [78], 80

Kaskada, godz. 22.00

1, 3, 6, 7, 8, 9, 11, 14, 16, 18, 22, 24

Mini Lotto 2, 5, 12, 15, 17

Ekstra Pensja 2, 7, 9, 12, 16 - 4

Ekstra Premia 4, 20, 23, 30, 31 - 4

CZWARTEK, 9.10

Multi Multi, godz. 14.00

4, [8], 9, 15, 17, 20, 33, 35, 42, 43, 45, 47, 49, 59, 63, 67, 68, 72, 74, 78

Kaskada, godz. 14.00

2, 4, 6, 7, 9, 10, 13, 15, 16, 19, 22, 23

Dawniej wielkie gwiazdy,
teraz w roli naszych rywali

Kamil Łączyński to kawał historii Anwila Włocławek, a Aaron Cel to jeden z symboli największych sukcesów Twardych Pierników

Joachim Przybył

joachim.przybyl@polskapress.pl

KOSZYKÓWKA. - To była pierwsza data, którą sprawdziłem w terminarzu - mówi Kamil Łączyński przed meczem z Anwilem. W niedzielę z koleżkibice w Toruniu spotkają się z Aaronem Celem.

To będzie wydarzenie 3. kolejki Orlen Basket Ligi. Kamil Łączyński to symbol i jeden z najważniejszych graczy w historii włocławskiej drużyny. W Hali Mistrzów spędził osiem lat, w tym czasie zdobył dwa mistrzostwa Polski, tytuł MVP finałów, brąz, Superpuchar Polski, triumfował z drużyną w FIBA Europe Cup oraz ENBL i został najlepszym asystentem w historii Anwila.

- Myślę, że będzie wzruszenie. Spędziłem tam osiem wspaniałych lat, dobrze wspominałem wszystkich pracowników, kibiców. Dzisiaj reprezentuję barwy Ark i zrobię wszystko, abyśmy wygrali. Na pewno nie będziemy faworytem tego meczu, ale zrobimy wszystko co w naszej mocy, aby wygrać. To pierwsza data jaką sprawdziłem w terminarzu. Cieszę się na wizytę we Włocławku, ale profesjonalizm trzeba zachować, sentymenty odłożyć na bok - mówi rozgrywający.

Latem Kamil Łączyński zdecydował się na rozstanie. Trochę z przyczyn rodzinnych, trochę też był rozczarowany, że klub odlekał nieco rozmowy o kontr-

akcie. Teraz prowadzi wzmocnioną Arkę Gdynia. Łączyński ma bardzo udane ostatnie miesiące. W barwach reprezentacji rozegrał bardzo dobry Eurobasket, a na inaugurację Orlen Basket Ligi poprowadził Arkę do zwycięstwa ze Stalą Ostrów 90:83, notując na koncie 11 punktów i 8 asyst. Jego indywidualny pojedynek z Elvarem Fridrikssonem zapowiada się świetnie.

- Mieliliśmy odprawę taktyczną, znamy mocne i słabe strony zawodników Anwila. To nie są nowi gracze, znamy ich dobrze z europejskich parkietów. Jesteśmy zdrowi i gotowi, aby powalczyć o zwycięstwo - zapowiada „Łączka”.

Dodajmy, że to nie jedyny eks-anwilowiec w składzie Arki. Zobaczymy tam także Jarosława Zyskowskiego, mistrza Polski z włocławską drużyną oraz Jakuba Garbacza.

Początek meczu w piątek o godz. 20.15.

Sentymentalna podróż także w Toruniu. W niedzielę o godz. 12.30 Arriva Lotto podejmie Legię Warszawa. Na parkiecie, a w zasadzie obok niego, spotka się dwóch przyjaciół z boiska, z którymi związane są największe sukcesy Twardych Pierników. Pod sufitem Areny Toruń wiszą pamiątkowe koszulki Aarona Cela i Bartosza Diduszki. Pierwszy siedem lat broił barw Twardych Pierników, a od roku realizuje się w roli dyrektora sportowego Legii, z którą świętował mistrzostwo już w premie-

rowym swoim sezonie. Diduszko aż dziewięć lat grał w toruńskim zespole, a teraz wdział garnitur i zaczyna karierę trenera, na razie od roli asystenta Srdjana Suboticia.

To nie jest łatwy początek sezonu dla torunian, którym los przydzielił bardzo mocnych rywali na start. W starciu z Kingiem Szczecin niewiele brakowało w końcówce do niespodzianki, choć to nie był najbardziej udany mecz Twardych Pierników.

- Mamy sporo rzeczy do poprawy, ale najważniejsza jest ta agresja od pierwszych akcji. Przegraliśmy, ale pokazaliśmy potencjał i teraz myślimy już o Legii. Czas będzie działał na naszą korzyść, ten zespół jest w stanie powalczyć z każdym - przekonuje Damian Kulig.

Legia jest rywalem jeszcze mocniejszym. Na inaugurację sezonu mistrzowie Polski rozgromili wicemistrzów z Lublina 90:68. Mecz jeszcze z ławki obserwował Wojciech Tomaszewski, który latem przeniósł się z Torunia do Warszawy, ale wraca do sił po kontuzji.

W lidze Qemetica Noteć Inowrocław poszuka pierwszego zwycięstwa we własnej hali, w sobotę o 20.00 podejmie Basket Poznań. Lider z Bydgoszczy pauzuje w ten weekend.

Koszykarki Energi Toruń w niedzielę o 16.00 podejmą mistrzynię Polski VBW Gdynia, a Artego Bydgoszcz o tej samej porze zmierzy się w Lublinie z AZS UMCS. ©©



FOT. ARCHIWUM